Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT • NR 26 (1814) • 27 czerwca–3 lipca 2025

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

NIE

Tragedia optymalna

str. 3

Jesteśmy w dupie

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

Ilust. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl 86a6214840

WOJNA DOMOWA

Poprzednią „Wojnę domową” – cztery tygodnie temu – zaczęliśmy od zdania „Jakby ktoś z Państwa nie słyszał: Karol Nawrocki wygrał wybory prezydenckie”. Okazuje się, że nie wszyscy tak sądzą. Mecenas Giertych opracował formatkę protestu do Sądu Najwyższego i 50 tys. ludzi ją wypełniło – choć podobno spora część wypełniających przepisała PESEL Giertycha, zamiast wpisać własny, więc te protesty nie będą rozpatrywane, ale musiały zostać zarejestrowane i była z tym kupa roboty. „Ponad 90 proc. protestów to są tak zwane giertychówki; tak je nazywają pracownicy Sądu Najwyższego” i w efekcie pracownicy ci „w weekend, tak zwaną czerwcówkę, siedzieli w sądzie” – poskarżyła się p. Manowska, tak zwana sędziówka.

Po paru tygodniach oczekiwania i budujących napięcie zapowiedzi premiera, że rząd powoła rzecznika, który będzie „poważną figurą polityczną”, a także „wagą ciężką w polityce” wreszcie jest rzecznik. Poseł Szłapka. Szef nieistniejącej partii o nazwie Nowoczesna, z głębokim doświadczeniem politycznym w postaci stanowiska genseka tejże partii, a wcześniej wiceprzewodniczącego rady miejskiej w Kościanie. Aktualnie Adam Szłapka piastuje urząd ministra do spraw Unii Europejskiej, ale wyraźnie nie ma za wiele do roboty, skoro jednocześnie może być rzecznikiem prasowym rządu. Pojęcie „poważnej figury politycznej” wyraźnie ewoluowało przez ostatnich parę dekad. A tak swoją drogą: nie macie poczucia, że premier Tusk wykazuje imponującą odporność na uczenie się na błędach? Po tym, jak złożony z czynowników partyjnych sztab wyborczy wtopił kampanię prezydencką, słabszy psychicznie lider zastanowiłby się nad zatrudnieniem fachowca od PR.

Wasyl Maluk, szef Służby Bezpieczeństwa Ukrainy, ogłosił: „Na lotnisku w Rzeszowie udaremniono zamach na prezydenta Wołodymyra Zełenskiego”. Wszyscy wstrzymali dech, ale okazało się, że chodzi o sprawę sprzed 14 miesięcy, kiedy to emerytowany polski wojskowy Paweł P. został aresztowany – nie w Jasionce, tylko w okolicach Lublina – pod zarzutem „zgłoszenia gotowości do współpracy z rosyjskimi służbami specjalnymi”. Od zgłoszenia gotowości do próby zamachu jest pewna odległość, ale Maluk zaklajstrował ją zręcznie opowieścią wziętą żywcem z nieodżałowanego Johna le Carré: podejrzany został „zwerbowany dziesiątki lat temu, głęboko wierzył w sowiecką ideę, przez lata pielęgnował swoje zamiary i wróg uruchomił tę konserwę”. Słowem: śpioch. Tak swoją drogą, to bardzo byśmy chcieli poznać Pawła P., bo nie spotkaliśmy w życiu żadnego żołnierza LWP z lat 70. czy 80., który by „wierzył w sowiecką ideę”. Wedle naszych doświadczeń polscy oficerowie, patrioci PRL, za towarzyszami radzieckimi szczerze nie przepadali.

Nastąpiły – cóż za niespodzianka – tarcia w koalicji. Trzecia Droga potarła się do tego stopnia, że się rozpadła. PSL na nocnym posiedzeniu ustalił, że już się więcej z Hołownią nie bawi i w 2027 r. startuje samodzielnie. „Decyzję Rady Naczelnej naszego koalicjanta PSL o faktycznym zakończeniu projektu Trzeciej Drogi przyjmujemy ze zrozumieniem i wdzięcznością” – napisał nieco dwuznacznie Hołownia. I dodał: „Perspektywa samodzielnego startu w kolejnych wyborach daje nam dziś poczucie szczerej politycznej radości”. Marszałek Hołownia, dziennikarz bądź co bądź, włada słowem w sposób szczególnie finezyjny, ale trudno oprzeć się wrażeniu, że właściwa treść tego oświadczenia brzmi: „Baba z wozu, koniom lżej”. Pytanie, czy lżej będzie również sejmowi, bo według sondaży ani PSL, ani Polska 2050 nie mają szans na przekroczenie progu.

À propos rozwodów i PSL: Władysław Kosiniak-Kamysz serio walczy o beatyfikację ciotki, Stefanii Łąckiej, której świętość najlepiej podkreśla fakt, iż przed wojną redagowała pismo dla dzieci „Króluj nam Chryste”. Ponieważ na cnocie Służebnicy Bożej nie może być żadnej skazy – MON zajmuje bardzo zasadnicze stanowisko w sprawie projektu lewicy, przewidującego ułatwienie rozwodów dla par, które chcą się rozstać, zgodnie stwierdzą zupełny i trwały rozkład pożycia i nie mają nieletnich dzieci. Małżeństwa takie, zgodnie z projektem, można byłoby rozwiązać w urzędzie stanu cywilnego. Ministerstwo Obrony Narodowej jest kategorycznie przeciw. „Małżeństwo poprzez administracyjne czynności utraci w społecznym postrzeganiu przymiot trwałości, na którym budowana jest rodzina, która to powinna być szczególnie chroniona przez państwo”, zaś „odformalizowanie uczyni z małżeństwa instytucję fasadową”. Rozwodnicy są – żeby zacytować wykładowcę ze studium wojskowego UW w latach 70. – „wbrew obronności kraju”!

À propos obronności: Włodzimierz Czarzasty wreszcie nam wytłumaczył, dlaczego musi zostać marszałkiem sejmu. Nie ma to nic wspólnego z jego osobistymi ambicjami. Upiera się dla bezpieczeństwa ojczyzny: „Trochę mi się nie podoba taka narracja, że Czarzasty chce zostać marszałkiem” – skarcił red. Piaseckiego. „Formacja polityczna, którą reprezentuję, uważa, że umowa koalicyjna, która została podpisana półtora roku temu, powinna zostać zrealizowana, gdyż w momencie, w którym jest dużo niebezpieczeństw różnych, dużo zamieszania w wielu sprawach, łącznie z tym, że mamy wojnę za granicą, wydaje nam się, że ład i porządek jest rozsądniejszą drogą niż łamanie zasad, na które żeśmy się umówili”. I tak to Putin załatwi Czarzastemu stołek.

Dowcip nam się przypomniał z PRL: – Sąsiedzie, sąsiedzie, ruskie w kosmos polecieli! – Wszystkie? – Nie, tylko jeden. – To co mi dupę trujesz? Tak nam się skojarzyło w związku z historycznym lotem Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego, który za 278 mln zł poleciał na Międzynarodową Stację Kosmiczną, aby przeprowadzić tam 13 eksperymentów naukowych. Jesteśmy całym sercem za eksperymentami naukowymi, ale nie jesteśmy pewni, czy „analiza mimiki w wideodziennikach” oraz „kontrolowanie aktywności mózgowej poprzez skupienie lub relaksację” muszą kosztować po 20 baniek. Media donosiły, iż „przedstawiciele Polskiej Agencji Kosmicznej podkreślają, że misja ma również wymiar edukacyjny i naukowy, a nie tylko prestiżowy”. Jak trzeba to podkreślać, to chyba coś jest nie tak.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Czerwiec 2013 r.

Świętego Laudry

Dziesiątego przeżyliśmy kolejną miesiączkę smoleńską. Wyczekujemy już menopauzy u Kaczyńskiego i Sakiewicza.

Świętego Nordena

Leszek Miller ogłosił, że na robiony przez SLD Kongres Lewicy nie zaprosi Palikota i Siwca. Daje tym sygnał, że ewentualne zjednoczenie całej centrolewicy, aby stała się alternatywą prawicy, wymaga co prawda udziału SLD, ale już bez Millera. Wątpliwe, czy Millera solo lub w duecie z Jońskim wezmą do któregokolwiek z prawicowych rządów. Miller przy swoim talencie do występów mógłby raczej zastąpić w PiS Hofmana.

Świętego Serca

Episkopat żąda od sejmu, żeby ustawy dostosowywał do religijnych zakazów ogłaszanych przez biskupów. Państwo powinno się rewanżować, sejm więc powinien uchwalać swoje żądania wobec autonomicznego Kościoła: nie odprawiajcie nabożeństw w niedziele, bo to przeszkadza ludziom w zakupach; nie sprzeciwiajcie się skrobankom, bo sierocińce są kosztowne; rozdawajcie w kościołach środki przeciwciążowe; nie żałujcie gejom sakramentu ślubu; poczekajcie z chrztem do pełnoletności dziecka; uczcie także innych religii niż katolicka, m.in. islamu, żeby uczniowie mieli wybór; dopuśćcie kobiety do kapłaństwa i biskupstwa; znieście celibat; zrezygnujcie ze swoich dziwacznych strojów itd., itp. Może rozwścieczeni panowie biskupi zrozumieją wtedy, co sami robią, chcąc ukatoliczać kraj za pomocą państwowych ustaw.

Świętego Medarda

Zwierzęta Daniszewskiej – pięć kotów i dwa psy – przed posiłkiem oglądają metki z cenami produktów i od nich uzależniają decyzję o spożywaniu. Dołączanie do kaszy metki czarnego kawioru nie jest skuteczne. Domownicy nie dają się wykiwać i tylko gardzą nami jako oszustami.

Świętej Diany

Red. Monika Olejnik błądzi, zarzucając w „Wyborczej” przewodniczącemu episkopatu, że nie mówi o pedofilii księży. Pan Michalik rzekł, że księża stanowią 0,05 proc. ogółu pedofilów. Po odliczeniu starców i misjonarzy w Polsce jest 20 tys. księży. 0,05 proc. oznacza, że wśród wielebnych było lub jest czterech pedofilów.

Kościół wpierw chowa pedofilów przed demaskacją i karą, a potem się chlubi, że ich nie ma. Ale i tak na dodatek statystykę fałszuje.

Obliczenia: w Polsce żyje około 15 mln mężczyzn w wieku seksualnie czynnym. Gdyby odsetek pedofilów był taki sam jak księży, czyli 0,05, mielibyśmy w Polsce 7500 pedofilów. W tym byłoby trzy całe i 75 setnych (3,75) księży.

Pójdźcie, o dziatki, a przekonacie się, że ci czterej księża-pedofile są wszechobecni jak sam Bóg.

Świętego Barnaby

Daniszewska zajmuje się posiadaniem obrazów i patrzeniem na nie. Wobec tego zgłosił się do niej wysłannik kogoś z władz Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, z którą Wojciech Fibak współpracuje w wystawiennictwie jako galernik. Tenisista pomawiany jest podobno w ASP o kontaktowanie dziewczyn ze sponsorami. Cóż, popyt na adeptki sztuki jest większy niż na ich dzieła. Za chwilę okaże się jednak, że wszystkie stosunki seksualne w Polsce dokonują się za pośrednictwem Fibaka.

Wspierana przeze mnie Daniszewska odrzuciła wszelkie zainteresowanie „NIE” Fibakiem. Jeżeli dwie dorosłe osoby zawierają dobrowolną umowę, że jedna nie będzie szczędzić pieszczot, a druga pieniędzy, podróży, strojów i atrakcji towarzyskich, to komu to szkodzi? Co w tym złego? Czemu potępiać organizatorów takich transakcji? Są one takie same jak motywy i charakter wielu małżeństw w społeczeństwie, gdzie nie ma powszechnej równości zarobkowej kobiet i mężczyzn. Żony są droższe niż sponsorowane utrzymanki i często gorzej traktowane.

Obustronnie pożyteczne jest także korzystanie przez panie z żigolaków i turystyka seksualna dam do Afryki i Azji, która jedną stronę odmładza, a drugiej pozwala zarobić na utrzymanie rodziny. A przecież rodzina jest najważniejsza!

Świętego Guja

Dlaczego Kościół sprzeciwia się zawieraniu związków partnerskich i przyznawaniu im praw? Przecież nie sprzeciwia się prawnej ochronie małżeństw niekościelnych, które są dla kleru także związkami partnerskimi, życiem na kocią łapę, grzechem, więzią pozbawioną ważności. Warto tropić takie klerykalne niekonsekwencje. Wskazują one, że motywem kleru nie są względy religijne, tylko ambicje i kalkulacje.

Też świętego Guja

Pudel Azor znowu ogłosił strajk głodowy. Żądań nie precyzuje, trzeba się ich domyślać. Jestem na to niestety za głupi i nawet Daniszewska też.

Świętego Antoniego

Czy moja żona mnie zdradza, z kim to robi i kiedy? Proszę o maile z informacjami na podany w „NIE” adres. Gwarantuję, że nie zdradzę informatorów, a jeśli mają dowody, wysoko wynagrodzę. Moje rogi są rogami obfitości.

❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Ksiądz Paweł Bortkiewicz** powiedział, że Chrystus nie oddał życia za zaimki osobowe. Chrystusowi trzeba przyznać, że gramatyka generalnie nie była jego misją.
- **Ministerstwo Zdrowia** chce zakazać sprzedaży kawy w szkołach. Słusznie, kawa wpływa na liczbę dwójek.
- **Tygodnik katolicki „Niedziela”** pyta, czy lepszy pełny brzuch, czy pełne serce. Prawidłowa odpowiedź to: dla kleru jedno, dla wiernych drugie.
- **Andrzej Duda** podpisał zakaz sprzedaży e-papierosów i woreczków nikotynowych nieletnim. Przynajmniej jest jakiś pozytyw debaty prezydenckiej.
- We Francji **kierowcy Tesli** chcą odszkodowania za upolitycznienie marki. Niech się cieszą, że nikt im głów na łyso nie goli.
- **Niemcy** w obawie przed Rosją biorą się za odnawianie bunkrów. Te bunkry już się raz nie sprawdziły.

MARTA M.

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

Rys. TOMASZ WIATER

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Cudowne rozmnożenie?

Zaciekawiła mnie liczba ponad 300 000 osób więcej głosujących w II turze wyborów, w porównaniu z turą I. PKW wyjaśniła, że do II tury przystąpiły osoby, które właśnie uzyskały świadectwo dojrzałości (ciekawe, ile osób je dostało po 18 maja). Ponadto na wybory ruszyły osoby, które nie wzięły udziału w pierwszej turze. Pewnie tak i było.

Ale tu wypływa sprawa list wyborczych, z których powinni być wykreśleni ci, którzy pobrali zaświadczenie, że zagłosują w innej komisji wyborczej. Czy mogło się zdarzyć, że nazwisk tych osób nie usunięto z pierwotnej listy, a ktoś inny głosował za siebie i za niewykreśloną osobę?

Brzmi jak teoria spiskowa, ale dawno temu zaszło, co następuje: Narodowy Spis Powszechny w 2002 r. podał, że jest nas, obywateli, 38 230 tys. W roku 2001 liczba ludności w Polsce wynosiła 38 644 tys. Czyli więcej o ponad 400 000 osób. Odliczając przyrost naturalny, sprawdzono, że różnica wynikła głównie z faktu, że w zbiorach meldunkowych osoby, które zameldowały się w innym miejscu, nie zostały wykreślone z dotychczasowych rejestrów.

Przyszedł mi na myśl czynnik ludzki jako szatan czynny teraz i wtedy.

Pozdrawiam
MAGDA MILUSZ

Kompetencje, głupcze!

Czy ktoś jest w stanie wyjaśnić, dlaczego przeciw rozsądnemu projektowi szybkich rozwodów protestują PSL-owskie resorty z Kosiniakiem-Kamyszem na czele? (…) Jeżeli tak działa rząd Tuska, (…) to całe szczęście, bo może resorty zdrowia, edukacji oraz rodziny i polityki społecznej sprzeciwią się zwiększeniu wydatków na zbrojenia. Będzie w tym więcej sensu (…).

AK

Strumień świadomości

Są wywiady dobre i wywiady słabe, (…) gdzie dziennikarz boi się zadawania trudnych pytań i przerywania strumienia świadomości swojego rozmówcy. Do tego drugiego zalicza się ostatni wywiad redaktora Macieja Wiśniowskiego pt. „Nie było cię tam, nie zrozumiesz” z rosyjską tzw. korespondentką wojenną Swietłaną Piktą. Bardzo mnie boli fakt, że Szanowny Redaktor nie zapytał Pani Pikty, dlaczego rosyjskie „ujmowanie się za swoimi rodakami” (sic!) zakłada równanie donbaskich miast z powierzchnią ziemi (…). Albo o to, czy Pani Swietłana zdaje sobie sprawę, że ten pomnik „zabitych dzieci Donbasu” upamiętnia dzieci, które zginęły po obu stronach frontu (…)? Czym to się niby różni od tego, co Izrael robi w Gazie? Zanim ktoś powie, że przecież wystarczy się zgodzić na warunki Rosji (tj. się poddać) – czy mordowanym Palestyńczykom też byście doradzili, że przecież wystarczy tylko się zgodzić na wysiedlenie i wszystko będzie okej?

Jak zawsze z wyrazami szacunku
CZYTELNIK

eprasa.pl 86a6214840

Śmierć w apartamencie z klimatyzacją

Tragedia optymalna

W minionym tygodniu media – jak zauważył z błyskiem „Super Express” – obwieściły światu wielką tragedię Anastazji Buryk. Słusznie, ale nie do końca. Bo to była tylko jedna tragedia z pięciu. Tylko końcowa. A zarazem środkowa. Była tragedią w tragedii, wynikiem tragedii i przyczyną kolejnych tragedii. Można by powiedzieć, że była to tragedia fraktalna – każdą łzę dało się rozbić na mniejsze łzy albo połączyć w ocean łez.

Nie dziwi więc, że temat chwycił. Bo przecież Polacy – od dekad programowani kazalnicą, różańcem i cierpiętniczym mitem narodowym – tragedię chłoną jak kisiel z opłatkiem. Ale to nie tylko o to chodzi. Historia Anastazji ma w sobie coś więcej. Idealna medialnie, bo łączyła trzy rzadkie składniki: zło, nonsens i absurd – w jednym uderzeniu. A to już nie jest zwykła śmierć. To jest gatunkowa osobliwość. To jest metafizyka z CNN, liturgia YouTube’a i sensacja moralna, którą da się podać na zimno i na gorąco.

Komórka zwariowała

Historia ta jest tak absurdalnie odklejona od logiki, że chwilami przypomina zły sen zapomniany w pół zdania. Trudno w nią uwierzyć – nie dlatego, że brakuje dowodów, ale dlatego, że zderza się czołowo z każdym wyobrażeniem, jakie człowiek ma o porządku świata.

Jeśli ktoś choć odrobinę wrażliwy potraktuje tę opowieść poważnie – nie jako news, lecz jako wydarzenie ontologiczne – musi dojść do wniosku, który nie przystoi epoce certyfikatów i wykresów: „wiem, że nic nie wiem”. I nie mówi tego Sokrates w sandałach. Mówi to darczyńca z Otwocka. Mówi to lekarz w telawiwskiej dzielnicy HaKirya. Mówi to matka w Kijowie, która akurat nie zdążyła kliknąć „Wyślij”.

Otóż pan Artem Buryk – obywatel Odessy, Ukrainiec z krwi i paszportu – zawarł związek małżeński z niejaką Marią Pieszkurową. Związek ten, zawarty zgodnie z lokalnym prawem i biologią, zaowocował nowym człowiekiem: dziewczynką o imieniu Anastazja. W piątym roku życia zapadła na ostrą białaczkę limfoblastyczną. Nie z powodu promieniowania, zatrutej wody ani eksperymentów NATO. Po prostu mutacja. Komórka zwariowała. Jak to bywa.

Niestety, życie nie uznało tej tragedii za wystarczającą. W tym samym czasie bowiem Władimir Putin postanowił napaść na Ukrainę. I pan Artem, zamiast stanąć przy łóżku córki, stanął do apelu. Wstąpił ochotniczo do 95. Brygady Desantowo-Szturmowej, elitarnej jednostki z rodzaju tych, które lądują, zanim ktokolwiek zdąży powiedzieć „ewakuacja”. Zostawił więc chorą córkę. Uznał, że są rzeczy jeszcze bardziej śmiertelne niż rak – na przykład Rosjanie. Zwłaszcza ci, którzy nie byli chorzy, ale jego zdaniem powinni.

Ukraińska białaczka i żydowska medycyna

Opiekę nad rakiem przejęła matka. Jak to bywa: ojciec na froncie, matka na oddziale. A że współczesna medycyna ma jedną wspólną cechę z polityką mieszkaniową, ochroną przyrody, terapią uzależnień i poradnictwem sercowym – czyli kosztuje – Marii nie pozostało nic innego, jak zacząć robić to, co robią dziś matki w sytuacjach bez wyjścia: kwestować.

Niezależnie od tego, czy problemem jest guz mózgu, kredyt we frankach czy zanik zainteresowania partnera, odpowiedź rynku jest jedna i niezmienna: pieniądze. Ruszyło. Portale. Posty. Siepomaga. Facebook. A leczenie? W Izraelu. Wiadomo: jak coś ma zadziałać, to niech robią to Żydzi. Od tysięcy lat są w tym dobrzy – w przetrwaniu. Jeśli doktor Frankenstein miałby kogoś uleczyć, to raczej w Tel Awiwie niż w Pruszkowie.

Semicki komponent bowiem działa jak korek od szampana – nikt nie wie, dokąd poleci, ale jak już wystrzeli, to huk jest gwarantowany. Izrael to słowo klucz otwierające serca, portfele i – co najważniejsze – pola komentarzy.

Sześciolatka, która zarobiła na raku

Na polskim portalu Siepomaga.pl nowotwór osiągnął niezły wynik finansowy: w niecałe dwa lata zarobił ponad 1,6 mln zł. Klientów 38 tys. Inwestorów jeszcze więcej, jeśli wliczyć lajki, łzy i modlitwy. Wszystko to w oparciu o niezachwianą wiarę w jedyną znaną religię ponadnarodową: moc uzdrawiającą pieniądza. Jak wiadomo, jeśli nie pomoże Bóg, NFZ ani medycyna naturalna, to może chociaż Mastercard.

I trzeba przyznać – nowotwór wykazał się talentem finansowym. Podobnie jak pewne historyczne nacje, rak potrafi przyciągać kapitał. Ma dar. A sześciolatka o imieniu Anastazja, zamiast figurować w rubryce „ofiary losu”, awansowała na „beneficjentkę sukcesu”.

Gdyby jej ojciec sierżant Artem zabijał Rosjan przez następne 10 lat, z dodatkiem bojowym i premią za heroizm, nie zbliżyłby się nawet do połowy tej kwoty (o ile wojna jeszcze tyle potrwa). Oczywiście pod warunkiem, że sam nie zostałby w międzyczasie zabity, a to, jak wiemy, na wojnie bywa niedogodnością zawodową.

Dlaczego ukraińska matka żebrała o pieniądze na leczenie w Izraelu u Polaków? Hmmm… to pytanie z tej samej kategorii co: „dlaczego po rzezi wołyńskiej pomagamy dwóm milionom uchodźców?”. Tu nie ma odpowiedzi, są tylko historia, poczucie winy, wrodzona gościnność, kompulsywny altruizm i odrobina PR-u na arenie międzynarodowej. A przede wszystkim system, który mówi: nie masz forsy – umieraj lokalnie. Chcesz żyć – sprzedaj narrację, tam gdzie chwyci ona za serca.

Ilust. TOMASZ ROGOWSKI

Rak na wygnaniu: Anastazja w Ziemi Obiecanej

Tak czy inaczej: Anastazja chora. Matka zdrowa. Babka Anastazji zdrowa, rocznik 1963, w pełni sprawna, tylko czasem ciśnienie. Dwaj kuzyni (Kostia i Ilja) zdrowi i w wieku, kiedy człowiek jeszcze nie wie, że nieśmiertelność to faza przejściowa. Wszyscy razem wydostali się spod bomb Odessy. Wylądowali na 100 mkw. przestrzeni życiowej apartamentu pod adresem: Jerusalem Street 45, dzielnica Bat Yam.

Bat Yam to ta część Tel Awiwu, gdzie morze sięga okien, a schrony przeciwatomowe są obowiązkowym elementem architektury. Klimatyzacja, domofon z kamerą, marmurowa klatka schodowa, winda na trzecie piętro. Widok z balkonu: Morze Śródziemne – niebieskie, spokojne, obojętne.

Piętnaście minut piechotą: Ichilov Hospital, znany też jako Tel Aviv Sourasky Medical Center – ośrodek najnowszej generacji, gdzie medycyna gra w lidze mistrzów: onkologia, hematologia, przeszczepy, immunologia.

Tam właśnie miała rozpocząć się druga bitwa o życie Anastazji. Z punktu widzenia logiki wszystko miało sens. Z punktu widzenia geografii – także. Z punktu widzenia życia? Na razie. Z punktu widzenia śmierci? Chwilowo nie pytano.

Reality show ze szpitala

Leczenie – relacjonowane. Umieranie – udokumentowane. Przetrwanie – na żywo, z hashtagiem. Historia Anastazji niczym rytualna niedziela powracała regularnie na Facebooka. Zdjęcia z kroplówką. Zdjęcia z nadzieją. Oraz zdjęcia z beznadzieją, jak tam się lekarzom akurat nie udawało.

Kolejne posty, kolejne aktualizacje: pięcioosobowa rodzina walcząca o życie jednej z pięciu osób. Matka przy łóżku. Anastazja z opatrunkiem. Czasem informacja o zaległościach wobec szpitala – bo nawet cudowny system ochrony zdrowia Tel Awiwu potrafi upomnieć się o przelew. Ale i na to był sposób: polska nadzieja. W Izraelu wciąż wierzą w polską dobroczynność – bo kto jak nie my sadził drzewa w Yad Vashem? Historia zna te gesty. Ichilov Hospital też.

Zbiórki działały jak maszyna. Leczenie trwało. Co robiła w tym czasie babka – nie wiadomo. Czym zajmowali się dwaj około dziesięcioletni kuzyni – również nie ustalono. Być może spacerowali po plaży. Być może próbowali zainstalować VPN. Reporterzy uznali, że to szczegóły drugiego rzędu. Bo przecież to była opowieść o ratowaniu życia, a nie o nudnej codzienności rodzinnej w apartamencie z klimatyzacją.

Przeczucia mylą kierunki

Statystycznie rzecz ujmując, nowotwór, który zaatakował Anastazję, to nie byle jaka zaraza, lecz prawdziwy majstersztyk natury. Trafienie w taką diagnozę to jak trafić w szóstkę w lotka od tyłu. Prawdopodobieństwo zachorowania u dziecka wynosi około 0,004 proc. Ale jeśli już się trafi, to paradoksalnie są dobre wieści: szansa na trwałe wyleczenie wynosi od 85 do 90 proc. W skrócie: cud natury z happy endem gwarantowanym przez medycynę. Ale śmierć nie kalkuluje jak lekarze, nie zna się na statystyce.

Rodzina z Odessy, jak to Słowianie, miała bujną fantazję – skłonną do apokaliptycznych wizji. Wyobrażali sobie, że Rosja, hoża i rozśpiewana, zrzuca na ich blok na Ukrainie bombę atomową. Bo Rosja takie bomby ma, a i fantazję wojenną posiada – to akurat prawda. Śmierć od rosyjskiej bomby? Możliwa, dopuszczalna, wręcz zrozumiała w ramach słowiańskiej skłonności do melodramatu. Ale co im się w najczarniejszych snach nie śniło, to śmierć od irańskiej bomby atomowej, szczególnie w Izraelu. Bo Iran takich bomb nie ma, a gdyby nawet miał, to raczej nie w Izraelu by je zrzucał. Słowiańska logika.

Chirurgia i łopatologia

Niestety, innego zdania jest premier Izraela Beniamin Netanjahu. Przewidział, że Iran może kiedyś dysponować bombą atomową, i postanowił uprzedzić fakty. Z chirurgiczną precyzją wysłał nad Teheran małe, zgrabne drony i inne lotne śmiercionośne drobiazgi, które sukcesywnie wykańczały każdego, kto wyglądał jak fizyk jądrowy, oraz każdy garaż, w którym poziom promieniowania przekraczał normy cywilne przewidziane dla masła.

Zginęło siedmiu naukowców, kilka laboratoriów wyparowało, a uran przestał być wzbogacany. Wrócił do roli nieśmiałego pierwiastka okresowego. Świat westchnął z ulgą: oto lider, który wie, jak się chronić.

Netanjahu – człowiek, który wyprzedził atom – nie przewidział jakoś jednak, że Iran, pozbawiony chirurgicznej precyzji i zimnej elegancji dronów, zemści się jak potrafi: łopatologicznie. Będzie napierdalać rakietami na oślep, gdzie popadnie, z nadzieją, że coś trafi, a coś innego się zawali.

Dziewięć trupów za osiem milionów

No i stało się. 14 czerwca w godzinach nocnych, na peryferiach irańskiej teokracji, pewien ajatollah – może między kazaniem a kozami, nie wnikajmy – odpalił rakietę Horramszahr[1] (jedną z 200 wystrzelonych tamtego dnia). Cena sztuki: 8 mln dol. Czas przelotu: 10 minut. Cel: mniej więcej Tel Awiw. Rakieta trafiła dokładnie tam, gdzie nikt się jej nie spodziewał – w apartamentowiec przy ulicy Jerozolimskiej, ten z widokiem na morze, klimatyzacją i schronem przeciwatomowym, który – jak się okazało – nie wszystkich zdążył ugościć.

W budynku mieszkało około 200 Żydów i pięcioro Ukraińców. Bilans: pięcioro Ukraińców martwych. Czterech Żydów martwych[2]. Reszta zdążyła zejść do schronu. Bo był alarm. System działał. Powiadomienie przyszło. Większość posłuchała.

Nie posłuchała rodzina Anastazji. Dlaczego? Bo byli z Odessy. A w Odessie alarmy wyją kilka razy dziennie. Rzadko coś z tego wynika. Zwłaszcza o drugiej w nocy. Człowiek przywyka. Filtruje. Myśli: „To nie tu. Nie teraz. Nie nas”.

A poza tym Tel Awiw to nie Charków. W Bat Yam się nie bombarduje. To był logiczny błąd. Ostatnia iluzja.

Urlop sierżanta Buryka

Starszy sierżant Artem Buryk o śmierci rodziny dowiedział się z depeszy w „Kiev Times” cytującej premiera Izraela, który potępił bezprzykładne barbarzyństwo gloryfikujących śmierć perskich fanatyków. W tłumaczeniu nieoficjalnym – po prostu skurwysynów.

Buryk był zaskoczony. I to nie w sposób filozoficzny. Po prostu: wieczorem dnia poprzedniego rozmawiał z córką, żoną, babką, jednym kuzynem i drugim. Nic nie wskazywało na to, że za kilka godzin zostaną zrakietowani. Żadnego złego przeczucia. Żadnego „trzymaj się”. Zwykłe „do jutra”.

W jednostce zapanowała konsternacja. Dowódca udzielił mu trzech dni urlopu, żeby mógł odpocząć od zabijania Rosjan i zająć się sprawami rodzinnymi. Choć technicznie rzecz biorąc, rodziny już nie ma. Zostały formalności. Ciała wrócą do Odessy – nie w trumnach, lecz w urnach. Kremacja jest tańsza niż repatriacja zwłok, a Izrael, mimo wszystko, zna się na logistyce[3]. Co do zorganizowania zbiórki – to nie wchodziło w grę. Artem Buryk nie zna się na crowdfundingach.

Nie zawiódł nikt. Zawiodło wszystko

To nie jest historia o pomyłce. To była historia zgodna z procedurą. Wszystko zadziałało. Rak był autentyczny. Pomoc szczera. Zbiórka skuteczna, lekarze kompetentni, mieszkanie solidne, szpital najlepszy, rakieta celna (mniej więcej). Systemy ostrzegawcze działały. Alarm był. Schron był.

Śmierć nie przyszła z zaskoczenia. Przyszła zgodnie z logiką świata, który nie kieruje się ani dobrem, ani złem, tylko ciągiem przyczyn i skutków. Ten świat nie jest niesprawiedliwy. On jest bezosobowy. Nie zna litości, bo nie zna celu. Nie zna celu, bo nie ma sensu. A nie ma sensu, bo go nie potrzebuje, by działać. Anastazja nie zginęła pomimo wszystkich starań. Zginęła wewnątrz nich. Wszystko, co miało zadziałać, zadziałało. I właśnie dlatego umarła.

Jeśli więc chcemy zrozumieć, jak naprawdę działa świat, powinniśmy przestać szukać błędu. Bo nie zawiódł człowiek. Nie zawiodła technologia. Zawiodło tylko nasze złudzenie, że nad tym wszystkim panujemy. Że to rozumiemy.

Nie panujemy. Nie rozumiemy. Nie mamy kodu dostępu do mechanizmu. Możemy tylko patrzeć – i czasem jeszcze coś komuś wysłać na zbiórkę, żywiąc się złudzeniem, że forsa wszystko załatwia. Życie to „zbieg przewrotności” – podsumowała sprawę kijowska gazeta. Nieźle brzmi, choć niczego nie wyjaśnia.

ROBERT JARUGA

1. Rakieta Horramszahr (dosłownie „Szczęśliwe Miasto”). Brak oficjalnie przyjętej polskiej transkrypcji. Nazwa pochodzi od miasta Chorramszahr w południowo-zachodnim Iranie.

2. Źródła różnie podają liczbę ofiar tego nocnego uderzenia. W niektórych relacjach mówi się o dwóch zabitych obywatelach Izraela, w innych – o czterech. Chodzi o rząd wielkości, nie o dokładność co do cyfry. Nie ulega natomiast wątpliwości, że śmierć dziewczynki z Ukrainy, która przyjechała na leczenie nowotworu po międzynarodowej zbiórce zyskała w mediach zupełnie inny status symboliczny niż pozostałe ofiary tej samej eksplozji.

3. W sensie logistycznym, jedna trumna = pięć urn.

eprasa.pl 86a6214840

Tym razem Iran

Izrael nie może żyć bez wojny

Jak zakończy się wojna między Izraelem i Iranem – zwłaszcza po tym, jak wtrąciły się do niej Stany Zjednoczone? Możliwych jest kilka scenariuszy. Najgorszy – to zniszczenie irańskich instalacji nuklearnych i wybuch nowej wojny na wielką skalę, najlepszy – osiągnięcie jakiegoś porozumienia między Iranem i USA kończącego lub przynajmniej wygaszającego konflikt na jakiś czas.

Pokój przez wojnę

Walkę aż do ostatecznego osiągnięcia celów zapowiedział minister spraw zagranicznych Izraela Gideon Saar. Wprawdzie celów tych nie sprecyzował, ale można się domyślać, że chodziło mu o zniszczenie irańskiego potencjału nuklearnego, a niejako przy okazji – o zabicie irańskiego przywódcy ajatollaha Alego Chameneiego.

Pierwszy z tych celów jest nieosiągalny bez zbrojnej interwencji Stanów Zjednoczonych – Izrael nie dysponuje bombami na tyle silnymi, by móc przebić się do umieszczonych głęboko pod ziemią celów. Ta interwencja nastąpiła – ale jaka była jej skuteczność, do końca nie wiadomo.

Najwyżsi amerykańscy notable, z Trumpem na czele, twierdzą, że całkowicie zlikwidowano ośrodek badań atomowych Fordo. Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej sceptycznie odnosi się do wieści płynących z Waszyngtonu. Twierdzi, że gdyby doszło do poważnego uszkodzenia podziemnych schronów Fordo i Natanz – głównych ośrodków prac nad wzbogacaniem uranu – w okolicach doszłoby do wzrostu poziomu promieniowania, czego nie stwierdzono. Równocześnie w obawie przed skutkami skażenia agencja wzywała do niezwłocznego powrotu do negocjacji. Władze w Teheranie twierdzą zaś, że zakład w Fordo został zawczasu ewakuowany w inne miejsce.

Wytłumaczenie, dlaczego bombardowania nie okazały się na tyle skuteczne, aby całkowicie unicestwić irański program nuklearny, może być dwojakie. Albo amerykańskie bomby były za słabe, aby przebić się do zlokalizowanych 900 m pod ziemią instalacji, albo była to wstępna przygrywka przed znacznie silniejszymi atakami, mająca na celu przymuszenie Iranu do zawarcia układu na amerykańskich warunkach. Nie jest to wykluczone; amerykański prezydent kilkakrotnie wspominał o takiej opcji.

Z drugiej strony, już w chwilę po ataku USA na Iran Trump znowu zaczął mówić o pokoju. Narzucił walczącym stronom zawieszenie broni, a jego naruszenia sfrustrowały go do tego stopnia, że użył nietypowego dla polityków z pierwszych stron gazet języka (wtorkową wypowiedź prezydenta USA dla mediów można luźno przetłumaczyć jako: „Mamy dwa kraje, które walczą ze sobą tak długo i tak ciężko, że już nie wiedzą co, do kurwy nędzy, robią"). Wygląda na to, że amerykański prezydent zechce wydostać się z cisnącego go gorsetu wojownika i powrócić na ulubioną pozycję negocjatora. Czy jest to zapowiedź przełomu – to się jednak dopiero okaże.

Fakt, że Trump zaatakował w nocy z soboty na niedzielę – choć jeszcze w czwartek zapowiadał, że decyzję o ewentualnym przystąpieniu USA do wojny podejmie w ciągu dwóch tygodni – można tłumaczyć na różne sposoby. Być może chciał zadziałać z zaskoczenia wobec Iranu – ale może chodziło o jego rodzimych oponentów. Przeciwko włączeniu się do wojny występują zarówno demokraci, jak też jego pobratymcy z Partii Republikańskiej. Kongresmen z tej partii Thomas Massie złożył w Izbie Reprezentantów projekt rezolucji zakazujący prezydentowi użycia sił zbrojnych przeciwko Iranowi, argumentując, że „nie jest to nasza wojna". W podobnym tonie wypowiadają się także inni aktywiści MAGA. Trump jednak uprzedził te działania i rozpoczął bombardowania bez zgody Kongresu, co – jak wskazują liczni amerykańscy politycy – jest niezgodne z konstytucją.

Obława na Chamaneiego

Drugi cel Izraela – zgładzenie irańskiego przywódcy – jest znacznie trudniejszy do osiągnięcia, o ile jest to w ogóle możliwe. Izraelski minister obrony Israel Katz oznajmił, że Chamenei nie ma prawa do życia, ponieważ ma „ogromny wpływ ideologiczny", a nade wszystko nawołuje do zniszczenia Izraela. Nawiasem mówiąc, każdy, kto choć trochę zna się na bliskowschodnich realiach, wie, że pełnych uniesienia deklaracji nie należy brać tam zbyt dosłownie. Moja znajoma Syryjka, ilekroć pokłóciła się z rodziną, mówiła: „Niech Izrael ich zbombarduje".

Zabójstwu Chameneiego przeciwne są Stany Zjednoczone – uważają, nie bez racji, że jeszcze bardziej zaogniłoby to sytuację na Bliskim Wschodzie. A bez amerykańskich bomb izraelskie lotnictwo nie zdoła dopaść ajatollaha, który już w momencie pierwszych izraelskich ataków schronił się w podziemnym bunkrze. W obawie o własne bezpieczeństwo irański lider unika ponoć elektronicznych połączeń, a z dowództwem wojskowym komunikuje się przez pośredników.

Według źródeł „New York Times" Chamenei na wszelki wypadek przygotował listę trzech potencjalnych następców. Izrael raczej musi zdawać sobie sprawę, że sama likwidacja przywódcy niczego w gruncie rzeczy nie zmieni; na jego miejscu pojawi się inny, wierny linii poprzednika. Dlatego Tel Awiw optuje za zmianą reżimu. Tymczasem z punktu widzenia normalizacji sytuacji na Bliskim Wschodzie bardziej pożądana byłaby zmiana władzy w Izraelu i zastąpienie obecnego skrajnie prawicowego, nacjonalistycznego i wojowniczego rządu przez bardziej umiarkowany.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Pretekst się znalazł

Izrael od dawna szykował się do ataku na Iran. Jak zauważa były dowódca polskiego lotnictwa wojskowego gen. pilot Tomasz Drewniak, operację taką planuje się miesiącami, przygotowując dziesiątki, a może nawet setki scenariuszy.

Do zaatakowania Iranu Izrael potrzebował jedynie pretekstu. Dostarczyła go Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej (MAEA) – ta sama, która teraz pilnie nawołuje do negocjacji. Przyjęła ona zaproponowaną przez Francję, RFN, Wielką Brytanię i USA rezolucję, w której wytyka Iranowi nieprzestrzeganie wzajemnych ustaleń, a także ukrywanie materiałów radioaktywnych w trzech nieujawnionych miejscach – i pilnie wzywa do podjęcia kroków wymaganych przez agencję. Już następnego dnia po przyjęciu tej rezolucji Izrael rozpoczął masowe bombardowanie Iranu.

Rząd Netanjahu, wspierany przez czołowych zachodnich polityków, twierdzi, że „Izrael ma prawo do obrony". Ale przecież to nie Iran napadł na Izrael – toteż powinniśmy mówić raczej o irańskim prawie do obrony przed izraelską agresją.

Gdyby zaś potraktować ją jako atak wyprzedzający, to takie same kryteria należałoby przyjąć wobec rosyjskiego ataku na Ukrainę. Tymczasem w opinii Zachodu Rosja jest wrażym elementem, a Izrael mile widzianym sojusznikiem.

Sam fakt możliwości wyprodukowania broni jądrowej – a nawet jej posiadania – nie zapowiada jej użycia; w historii ludzkości wydarzyło się to dwa razy, w amerykańskich atakach na Hiroszimę i Nagasaki. Od tej pory minęło 80 lat i żaden z dziewięciu krajów, które posiadają bomby atomowe, nie próbował ich użyć, zdając sobie sprawę z tragicznych konsekwencji dla całej ludzkości.

Z drugiej strony, nawet całkowite zniszczenie irańskiego potencjału nuklearnego nie oznacza, że Iran nie będzie go w stanie odbudować, choć może to potrwać. Dał to do zrozumienia premier Iranu Masud Pezeszkian, mówiąc, że czego by nie zniszczyli, zbudujemy od nowa. I co wtedy? Izrael będzie się szykował do kolejnej wojny?

BOLESŁAW K. JASZCZUK

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

☆ Naczelny tropiciel ruskich onuc Tomasz Piątek skomentował agresję na Iran: *Atak Ameryki na Iran wpycha Iran jeszcze głębiej w ramiona Putina. Ataki Iranu na Izrael wpychają Izrael jeszcze głębiej w ramiona amerykańskiego agenta Putina.* Wybitna analiza.

☆ Jakub Katulski na łamach „Przeglądu" przypomina historię straszenia przez Izrael irańską bombą atomową: *Po raz pierwszy informacja taka pojawiła się 25 kwietnia 1984 r. w dzienniku „Ma'ariw". Beniamin Netanjahu jeszcze jako szeregowy parlamentarzysta przekonywał w 1992 r., że Teheran potrzebuje tylko od trzech do pięciu lat, by zbudować broń jądrową. Dzisiaj częściej mówi o miesiącach. Jednocześnie we wtorek 17 czerwca, powołując się na źródła w amerykańskiej administracji, telewizja CNN podała w swoim raporcie, że wywiad Stanów Zjednoczonych nie widzi przesłanek do tego, by Iran starał się uzbroić w najbliższym czasie swój wzbogacony uran.* Straszenie nieistniejąca bronią ma długie tradycje. Saddam Husajn dobrze o tym wie.

☆ Irena Lasota w „Rzeczpospolitej" kreśli swoją wizję ataku na Iran: *Izrael rozbraja najgroźniejsze państwo na Bliskim Wschodzie i sam staje się ofiarą rewanżu Iranu*. Fakt, Izrael zawsze może być wyłącznie ofiarą.

☆ Mariusz Zawadzki na łamach „Gazety Wyborczej" wygłasza szokujące tezy: *Udało się! Z pogwałceniem prawa międzynarodowego i z pomocą Beniamina Netanjahu, który odpowiada za zbrodnie wojenne w Gazie, ale jednak powstrzymaliśmy irański program atomowy.* (…) *Naturalnie kwestie prawne nie mają żadnego znaczenia.* (…) *Dlatego nie słyszymy z Paryża, Berlina czy Brukseli głosów w obronie Karty Narodów Zjednoczonych. Milczymy w myśl niepisanej, ale powszechnie obowiązującej zasady: przestrzegamy prawa tylko wtedy, kiedy to jest dla nas wygodne.* (…) *Gdyby kwestie moralne miały znaczenie, to kraje zachodnie już dawno powinny zerwać stosunki dyplomatyczne ze zbrodniarzami, nałożyć na Izrael embargo gospodarcze i tak dalej. Jednak nic takiego się nie dzieje. Kilka dni temu izraelski czołg wystrzelił dwa pociski w tłum ludzi czekających na jedzenie w Gazie i przeszło to zupełnie bez echa. Zachód totalnie zobojętniał na to, co Izrael robi Palestyńczykom. Na początku zachodnie media się przejmowały, ale wreszcie również im się znudziło.* (…) *Bo wszyscy już chyba rozumieją, że w naszym wspaniałym świecie nie liczy się prawo międzynarodowe ani zasady moralne. Liczy się tylko i wyłącznie siła.* Czyżby krzewienie demokracji i praw człowieka było już passé?

☆ Wojciech Cejrowski („Do Rzeczy") nie pierwszy raz udowadnia, że zbyt częste chodzenie boso szkodzi zdrowiu: *Z naszego punktu widzenia szyici to samobójcy, którzy wraz ze sobą chcą zabić jak największą liczbę niewiernych. Iranem rządzą samobójcy. Każde inne państwo posiadające broń nuklearną nie chce zginąć. Ma tę broń do obrony lub do ataku, ale zastosuje tę broń tylko w ostateczności i zawsze z taką myślą, żeby samemu przy tej okazji nie zginąć. No ale nie Iran. Iran chce zginąć, bo na tym polega ich doktryna religijna, że gdy szyita ginie na swoich warunkach – na tej ich świętej wojnie z niewiernymi – to szyita idzie do nieba.* Zupełnie jak u katolików (patrz: krucjaty, w szczególności dziecięce).

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com

Ulubiony komunista

Wietnam przyjaźni się z USA, Chinami i Rosją

Krwawe doświadczenia wojenne niekoniecznie muszą prowadzić do długotrwałej wrogości. Świadczą o tym choćby stosunki między Wietnamem a USA. W 50 lat po zakończeniu wojny Wietnam i Stany Zjednoczone ogłosiły podniesienie wzajemnych stosunków do poziomu strategicznego partnerstwa; tym samym w gronie strategicznych partnerów Wietnamu USA dołączyły do Chin i Rosji.

Jednak już wcześniej rozwijały się ożywione stosunki gospodarcze pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i jedynym krajem, który je pokonał. W 2007 r. zawarto ramową umowę dotyczącą handlu i inwestycji. Warto też przypomnieć, że ówczesny prezydent Wietnamu Nguyen Xuan Phuc był jednym z pierwszych światowych przywódców, który w 2017 r. spotkał się z Trumpem w Białym Domu.

Pole golfowe i wieża Trumpa

Ostatnio mało miejsce jeszcze jedno wydarzenie potwierdzające wyjątkowy charakter stosunków Wietnamu z USA. The Trump Organization – konglomerat biznesowy prezydenta USA – postanowił zainwestować 1,5 mld dol. w luksusowy kurort w prowincji Hung Yen, 40 km od Hanoi. Planuje tam zbudować pola golfowe, a także pięciogwiazdkowe hotele i luksusowe rezydencje. O tym, że nie była to jedna z wielu transakcji handlowych, świadczy to, że na ceremonii wmurowania kamienia węgielnego obecny był premier Pham Minh Chinh, który także – jak piszą wietnamskie media – miał zachęcać trumpową organizację do utworzenia w Wietnamie bazy biznesowej i rozwijania działalności inwestycyjnej.

Podczas ceremonii premierowi Wietnamu towarzyszył syn prezydenta USA, Eric. Wprawdzie wątpliwe jest, aby Donald zechciał latać do Wietnamu tylko po to, żeby pograć sobie w golfa – przynajmniej do końca swojej prezydenckiej kadencji – ale biorąc pod uwagę nieprzewidywalność amerykańskiego prezydenta, nie można wykluczyć jego wizyty w Wietnamie, której program obejmie pomachanie kijem na własnym polu.

Co ciekawsze, umowa wstępna w tej sprawie została podpisana we wrześniu ubiegłego roku, tj. zanim Trump został wybrany na prezydenta. Można by się tu dopatrywać ze strony Wietnamu zarówno przenikliwości, jak i dalekowzroczności.

Obcując z Trumpem, Wietnamczycy znakomicie rozumieją oczekiwania jego rozdętego ego. Doskonałym tego przykładem jest projekt budowy wieży Trumpa (Trump Tower) w mieście Ho Chi Minh (dawniej Sajgon), obok planowanego centrum finansowego, na podobieństwo takich wież wybudowanych w Nowym Jorku i kilku innych amerykańskich miastach, a także w Turcji i na Filipinach. Wieża ma mieć wysokość 60 pięter, a koszt jej budowy szacowany jest na 1 mld dolców.

Handel przede wszystkim

Zabiegi o przychylność Trumpa mają konkretny cel. W ramach wojen celnych Stany Zjednoczone nałożyły na towary sprowadzane z Wietnamu cła w wysokości 46 proc. Jednak po ceremonii w Hung Yen cła zostały zawieszone do 2 lipca.

Handel z USA ma istotne znaczenie dla wietnamskiej gospodarki. Obrót towarowy ze Stanami jest dwukrotnie większy niż z krajami Unii Europejskiej i szacowany jest na ok. 30 proc. wietnamskiego PKB. Podwyższone cła mogą mieć duży wpływ na wietnam-

eprasa.pl 86a6214840

Niech przestaną ostrzeliwać

Rozmowa z pierwszym sekretarzem Ambasady Iranu w Polsce Hamidem Asadim

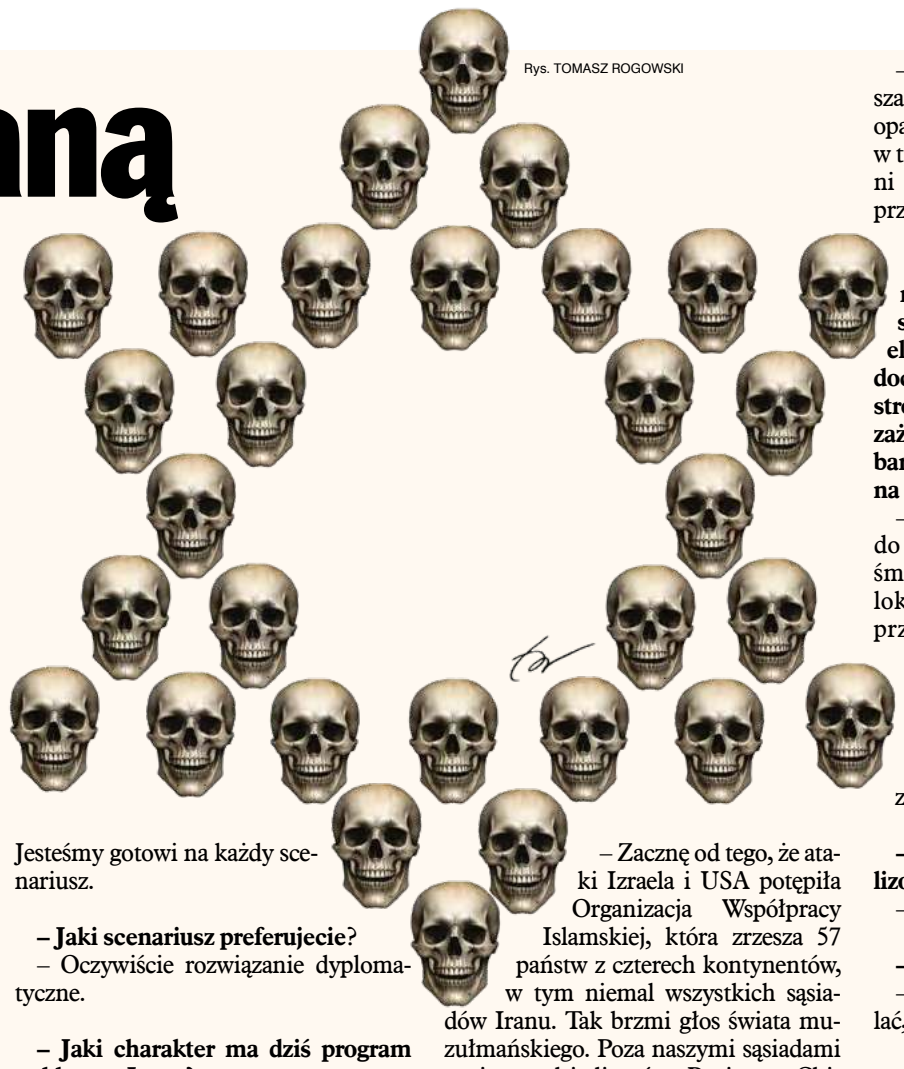

Rys. TOMASZ ROGOWSKI

– Czy celem Iranu jest zniszczenie Izraela?

– Zachodnie media próbują uczynić z Iranu państwo agresywne, tymczasem my nie chcemy niszczyć żadnego podmiotu na arenie międzynarodowej. Nasze stanowisko wobec Izraela jest bardzo klarowne. Uważamy, że na terytorium okupowanym przez rząd syjonistyczny należy przeprowadzić powszechne wybory, w których wzięliby udział wszyscy mieszkańcy, zarówno żydzi, jak i chrześcijanie czy muzułmanie. Pozwoli to wyłonić rząd reprezentujący wszelkie grupy społeczne.

– Dlaczego Izrael uważa Iran za swojego największego wroga? Jest przecież wiele innych państw, leżących znacznie bliżej niż Iran, z którymi Tel Awiw też ma sprzeczne interesy.

– Po pierwsze, Iran jest największym sojusznikiem Palestyńczyków. To Iran najgłośniej domaga się poszanowania prawa Palestyńczyków do życia, w chwili gdy Izrael pozbawia ich dostępu do wody, jedzenia i elektryczności. Bronimy ich, ponieważ to oni są rdzennymi mieszkańcami tych ziem i powinni mieć zagwarantowane wszystkie prawa. Izrael tego nie uznaje. Po drugie i jeszcze ważniejsze, syjoniści zbudowali swoje państwo na wrogości wobec innych państw. Po wywołaniu wojen ze wszystkimi sąsiadami – Egiptem, Jordanią, Libanem i Syrią – musieli znaleźć kolejnego wroga, którym będzie mogła się żywić ich propaganda. Po trzecie, Iran jest absolutnie niezależnym państwem. Nie podążamy za wskazówkami płynącymi z zagranicy, tylko podejmujemy suwerenne decyzje. Izrael tego nie akceptuje, dlatego od 13 czerwca nasz kraj jest bombardowany.

– Dlaczego właśnie 13 czerwca?

– Ponieważ byliśmy w kluczowym momencie negocjacji dotyczących naszego programu nuklearnego. Mieliśmy za sobą pięć rund rozmów, a planowana na niedzielę 15 czerwca szósta runda mogła zakończyć się porozumieniem między Iranem a USA. Dla Izraela jakakolwiek współpraca irańsko-amerykańska jest nie do przyjęcia, dlatego zdecydowali się – dosłownie – zbombardować negocjacje.

– Skoro Stany Zjednoczone chciały negocjować, to dlaczego przyłączyły się do izraelskiego ataku i zbombardowały instalacje jądrowe w Forzo, Natanzu i Isfahanie?

– Na to pytanie powinna odpowiedzieć strona amerykańska. My cały czas powtarzamy, że chcemy rozwiązać wszelkie konflikty na drodze dyplomacji. To nie my zerwaliśmy pierwsze porozumienie między Iranem a stałymi członkami Rady Bezpieczeństwa ONZ, a gdy tylko pojawiła się wola polityczna w Waszyngtonie, znów usiedliśmy do stołu.

– Ma Pan jakieś przypuszczenia, co mogło stać za decyzją Donalda Trumpa o ataku?

– Sądzę, że Amerykanie nie chcieli dopuścić do przejęcia inicjatywy przez państwa europejskie, które w ostatnich dniach wykazywały się daleko posuniętą aktywnością dyplomatyczną.

– Czy amerykański atak stanowi początek wojny irańsko-amerykańskiej, czy był to jednorazowy incydent, po którym jesteście gotowi dalej negocjować?

– W chwili obecnej widzimy, że strona amerykańska próbuje łagodzić sytuację, ale nie wiemy, jak długo to potrwa. Jesteśmy gotowi na każdy scenariusz.

– Jaki scenariusz preferujecie?

– Oczywiście rozwiązanie dyplomatyczne.

– Jaki charakter ma dziś program nuklearny Iranu?

– Wyłącznie cywilny. Nie dążymy do posiadania broni atomowej i w przeciwieństwie do Izraela jesteśmy stroną Układu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej. Zresztą Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej (MAEA) wielokrotnie informowała, że nie ma żadnych przesłanek wskazujących, iż irański program nuklearny ma charakter militarny. 18 czerwca, już po rozpoczęciu izraelskich ataków, dyrektor MAEA kolejny raz potwierdził: „nie ma żadnych dowodów na podejmowanie przez Iran wysiłków zmierzających do stworzenia broni jądrowej".

– Dwadzieścia państw arabskich podpisało oświadczenie potępiające ataki Izraela na Iran. Poza słownym potępieniem nie podjęto jednak żadnych kroków wobec Izraela. Ponadto w Bahrajnie, Iraku, Katarze, Kuwejcie i Zjednoczonych Emiratach Arabskich znajdują się amerykańskie bazy wojskowe, a państwa te ściśle współpracują z USA. Kto na Bliskim Wschodzie jest dziś faktycznym sojusznikiem Iranu?

– Zacznę od tego, że ataki Izraela i USA potępiła Organizacja Współpracy Islamskiej, która zrzesza 57 państw z czterech kontynentów, w tym niemal wszystkich sąsiadów Iranu. Tak brzmi głos świata muzułmańskiego. Poza naszymi sąsiadami możemy także liczyć na Rosję oraz Chiny, które są naszymi serdecznymi przyjaciółmi.

– Mówi Pan o Rosji, Chinach i organizacjach międzynarodowych, a ja pytam o państwa regionu. Kto jest dziś sojusznikiem Iranu na Bliskim Wschodzie?

– W ostatnich latach można zaobserwować dynamiczny rozwój współpracy chociażby z Arabią Saudyjską, Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi czy Egiptem. Mamy świetne relacje z Katarem i Omanem, które od początku pełnią rolę mediatorów w aktualnym konflikcie. Oman był także gospodarzem negocjacji, które prowadziliśmy ze Stanami Zjednoczonymi w sprawie naszego programu nuklearnego. Jednoznacznie wsparł nas Pakistan, który wskazał, że mamy pełne prawo do obrony przed agresorem. Łączą nas też znakomite stosunki z Irakiem i Turcją. Krótko mówiąc – mamy bardzo dobre relacje z państwami regionu.

– Ale żadne ze wspomnianych państw nie zdecydowało się na przekazanie Iranowi pomocy militarnej.

– Ponieważ o nią nie prosiliśmy. Nasza infrastruktura obronna jest w całości oparta na produkcji krajowej. Jesteśmy w tym zakresie w pełni samowystarczalni i nie oczekujemy broni od naszych przyjaciół.

– W nocy z poniedziałku na wtorek Donald Trump ogłosił zawieszenie broni między Iranem a Izraelem. Kilka godzin później zaczęły dochodzić do nas informacje, że obie strony łamią porozumienie, a Trump zażądał od Izraela zaprzestania bombardowań. Jaka jest aktualna sytuacja na froncie?

– Iran zadeklarował, że jest gotów do zawieszenia broni i zaprzestaliśmy ostrzałów. Z kolei Izrael wielokrotnie pokazywał, że nie potrafi przestrzegać jakiegokolwiek zawieszenia broni. W ostatnich latach widzieliśmy to w Syrii, Libanie i Strefie Gazy. Jesteśmy zatem gotowi bronić się przed kolejnymi atakami Izraela w razie złamania zawieszenia broni.

– Co Izrael musi zrobić, żeby ustabilizować stosunki z Iranem?

– Przestać ostrzeliwać Iran.

– Tylko?

– Dopóki Izrael nie przestanie strzelać, dalsze żądania nie mają sensu.

– Jak w obecnej sytuacji irański rząd planuje wesprzeć gospodarkę dławioną sankcjami i mającą problemy z falami recesji oraz inflacją?

– Iran to kraj o ogromnym potencjale i różnorodnych bogactwach naturalnych, który pragnie stabilnego rozwoju. Potrzebujemy jedynie pokoju i możliwości swobodnego handlu, by ten potencjał wykorzystać.

– Z sondażu opublikowanego w „Rzeczpospolitej" wynika, że agresję Izraela potępia aż 52,3 proc. obywateli RP, a popiera zaledwie 17,1 proc. Czy dostrzega Pan wsparcie ze strony Polaków?

– Tak, ambasada dostaje wiele listów z wyrazami poparcia i jest to dla nas niezwykle ważne. Rozumiecie nas, bo sami wielokrotnie cierpieliście z powodu agresji obcych państw. To właśnie pamięć o krzywdzie sprawia, że tak mocno solidaryzujecie się z Irańczykami. Jesteśmy za to Polakom ogromnie wdzięczni.

Rozmawiał
MAREK SANOWSKI

Trumpa

Ilustr. PAWEŁ FERENC

ski eksport, zwłaszcza że Wietnam ma wyraźnie dodatni bilans handlowy z USA.

Według oficjalnych amerykańskich danych w 2024 r. wietnamski eksport do USA wart był 136,6 mld dol., co oznacza wzrost o 19,3 proc. wobec roku 2023. Z kolei Wietnam zakupił amerykańskich towarów za 13,1 mld dolków. Tym samym amerykański deficyt w handlu z Wietnamem wzrósł w ciągu roku o 18,1 proc., do poziomu 123,5 mld dol.

USA są dla Wietnamu znaczącym rynkiem zbytu. Wietnam eksportuje do Stanów głównie tekstylia i odzież, obuwie, drewno i wyroby, ryby i przetwory rybne, a sprowadza stamtąd maszyny, samochody, produkty pochodzenia zwierzęcego, bawełnę.

Chiny na pierwszym miejscu

Najpoważniejszym handlowym partnerem Wietnamu są jednak Chiny. Z kolei Wietnam jest – pod względem obrotów z Chinami – pierwszy wśród 10 krajów ASEAN, czyli Stowarzyszenia Narodów Azji Południowo-Wschodniej. W zeszłym roku obrót towarowy między Wietnamem a Chinami wyniósł niemal 200 mld dol. – wzrost o 17,6 proc. wobec 2023 r. Chiny są trzecim – po Singapurze i Korei Południowej – zagranicznym inwestorem; tylko w zeszłym roku zainwestowały w Wietnamie ok. 2 mld dol. Przodują przy tym pod względem realizowanych projektów. Wietnam przystąpił też do chińskiej Inicjatywy Pasa i Drogi (BRI).

Bliskie stosunki Wietnamu z Chinami mają nie tylko wymiar ekonomiczny; oba kraje łączą też podobne rozwiązania ustrojowe. Wietnam w dużym stopniu zaadaptował chiński model gospodarczy. Potwierdził to na początku roku prezydent To Lam, który zapowiedział, że jego kraj będzie nadal maksymalnie korzystać z chińskich doświadczeń rozwojowych, zgodnie z zasadami – według chińskiej nomenklatury – socjalizmu o chińskiej charakterystyce. To Lam podkreślił także, że rozwój stosunków z Chinami jest wyborem strategicznym i stanowi priorytet wietnamskiej polityki.

Podobne deklaracje padają też z drugiej strony. Chiński przywódca Xi Jinping stwierdził, że Chiny zawsze widziały w Wietnamie strategicznego i długofalowego partnera. Jego zdaniem oba kraje „pogłębiają przyjazną współpracę" i konsekwentnie angażują się w pokojowe inicjatywy „prowadzące do niezwykle potrzebnej stabilizacji" sytuacji na świecie.

Znamienne są też słowa Xi Jinpinga, iż rządzące w obu krajach partie komunistyczne rozwijają marksizm i konsekwentnie podążają drogą socjalizmu.

Wysoki poziom wzajemnych kontaktów nie oznacza, że między obu państwami nie ma punktów spornych – choćby w kwestii morskich wód terytorialnych. Jednak obie strony dążą do dialogu i starannie unikają konfrontacji. Xi Jinping podkreśla też potrzebę ściślejszej wzajemnej koordynacji na drodze do rozwiązywania problemów.

Blisko Rosji

Trzecim państwem, z którym Wietnam łączy strategiczne partnerstwo, jest Rosja. Wprawdzie handel z Rosją osiąga niewielkie rozmiary – 3,63 mld dol. – jednak stosunki polityczne układają się bardzo dobrze. Wietnam wstrzymał się od głosowania w ONZ nad rezolucjami potępiającymi rosyjski atak na Ukrainę, co zostało docenione w Moskwie.

Putin wyraził podziękowanie za zrównoważone stanowisko wobec wojny na Ukrainie i dążenie Wietnamu do rozwiązania konfliktu w sposób pokojowy – zgodnie „z duchem i naturą wzajemnych stosunków".

Przyjazne relacje między obu państwami nie ograniczają się do deklaracji słownych; mają także wymiar praktyczny. Wietnam nadal utrzymuje z Rosją ożywione stosunki na różnych płaszczyznach. To Lam złożył w ubiegłym roku wizytę w Moskwie. W jej trakcie podpisano umowy o dalszej współpracy w zakresie edukacji, nauki i technologii, jak również – co dla Rosji ma szczególne znaczenie – wydobycia ropy i gazu. Na terenie Syberii działa bowiem rosyjsko-wietnamskie joint venture Rusvietpetro, zajmujące się eksploatacją tamtejszych zasobów ropy i gazu.

Jak widać, dążenie do utrzymywania poprawnych – a nawet uprzywilejowanych – stosunków ze Stanami Zjednoczonymi nie koliduje z utrzymywaniem ścisłych więzi z Chinami i Rosją. Czy może to być przykładem także dla innych państw?

BOLESŁAW K. JASZCZUK

REKLAMA

eprasa.pl 86a6214840

Dajcie już spokój z tym liczeniem…

Cień Wałęsy

Nie bądź jak Roman, nie dopatruj się spisku tam, gdzie go nie ma – chciałoby się rzec, gdy słyszy się i czyta, co dzieje się wokół niedawnych wyborów prezydenckich. A trudno się oprzeć wrażeniu, że wielu rodaków właśnie o spisku myśli, śląc protesty wyborcze i domagając się ponownego liczenia głosów. To nie tylko urojenia jednego posła adwokata.

Nie liczyłabym na to, że ponowne sprawdzenie wyników głosowania cokolwiek zmieni. Trzeba nie mieć żadnego wyobrażenia o organizacji takich przedsięwzięć jak wybory, żeby twierdzić, że PiS sfałszował te ostatnie w Polsce. PiS jest aktualnie w takiej sytuacji politycznej, że nie ma sił logistycznych do fałszowania wyborów. Byłby to zresztą bodaj pierwszy w dziejach przypadek, kiedy to opozycja sfałszowała wybory. Ale bez wątpienia PiS ma wiernych hunwejbinów gotowych z własnego przekonania na czyny niegodne a przestępcze, ale służące jedynie słusznej linii i Wodzowi. I tacy hunwejbini – jeżeli akurat w składzie komisji wyborczych się znaleźli – mogli z własnej inicjatywy podejmować różnego rodzaju matactwa, by dopomóc ich kandydatowi w zwycięstwie. Tylko tak da się logicznie wytłumaczyć pomyłki polegające na przypisaniu większości głosów ich kandydatowi, kiedy akurat uzyskał mniej, lub nagle pojawiające się tysiące głosów nieważnych.

Bo to nie są pomyłki. Pomyłkę można popełnić podczas wyborów samorządowych, kiedy każdy głosujący dostaje do wypełnienia książkę telefoniczną, a i tak nie ma pojęcia, na kogo i do jakiego organu głosuje. A komisja musi potem to liczyć – tu rzeczywiście może zdarzyć się pomyłka. Ale tam, gdzie sprawa jest prosta jak dwa razy dwa, średnio rozgarnięty uczeń podstawówki nie ma prawa pomylić się przy liczeniu głosów i poprawnym ich zapisaniu w protokole. Jeżeli więc myli się cała komisja, to raczej nie z powodu zwykłej pomyłki, lecz świadomego przekrętu. I te przekręty trzeba namierzyć i wyjaśnić, a winnych ukarać bez względu na to, po której stronie i na czyją korzyść mataczyli. Tylko tyle i aż tyle. Bo w warunkach polskich byłoby to już bardzo dużo.

Cała ta awantura z powtórnym liczeniem głosów nasuwa mi jednak jeszcze jedną refleksję. Pokazuje ona bowiem, jak bardzo jako społeczeństwo jesteśmy podzieleni i że właściwie niewiele można już zrobić, by ten podział zasypać. Po prostu zawsze będzie tak, że połowa z nas nie będzie zgadzała się z wynikiem jakichś wyborów. I będzie imać się wszelkich sposobów, by te wyniki podważać. Mamy przecież w tym względzie piękne tradycje samego Wałęsy sięgające. W naszym wspólnym interesie byłoby więc, żeby takich okazji do masowego dzielenia Polaków – a tym przecież była i cała miniona kampania wyborcza, i same wybory – było jak najmniej.

I na to akurat jest sposób: zrezygnować z powszechnych wyborów prezydenckich. Te przecież – skoro o tradycji napomknęliśmy – polską tradycją nie są. W II RP prezydentów wybierał parlament. Po wojnie Bolesław Bierut również został wybrany przez sejm. A po przełomie 1989 r. i po rozwiązaniu Rady Państwa pierwszego prezydenta – Wojciecha Jaruzelskiego – również wybrał parlament. Działo się tak dlatego, że

prezydent w naszym systemie, choć jest głową państwa, to nie pełni takiej roli jak w systemie amerykańskim (gdzie jest jednocześnie również szefem rządu) i nie ma żadnego powodu, by wybierać go w wyborach powszechnych.

Zmieniło się, gdy prezydentem zachciało się zostać Wałęsie. Jego powszechnie znana megalomania nie pozwalała mu, by był takim sobie zwykłym preziem wybranym w gmachu przy Wiejskiej. Jego musiał wybrać cały naród. I wybrał, choć nie bez niejakich trudności. Ale mając taką legitymację, Wałęsa mógł bez trudu budować swój system prezydencki.

Gdy jednak udało się nam pozbyć Pana Prezydęta, na dobrą sprawę należało powrócić do wybierania głowy państwa przez sejm. Nie wzbudzałoby to takich emocji i takiej zajadłości pomiędzy walczącymi stronami jak wybory powszechne. Dziś byłoby jak znalazł: nie kotłowalibyśmy niepotrzebnie kupy kasy na ogólnonarodowe igrzyska, z których jedyne, co mamy, to nieprzespane noce, nerwice, wrzody żołądka i różne takie oraz wzajemną i niegasnącą nienawiść zwolenników obu stron sporu politycznego. To oczywiście nie rozwiązałoby wszystkich problemów wojny polsko-polskiej, ale o jedną potężną bombę na tej wojnie byłoby mniej.

EDYTA BAKER

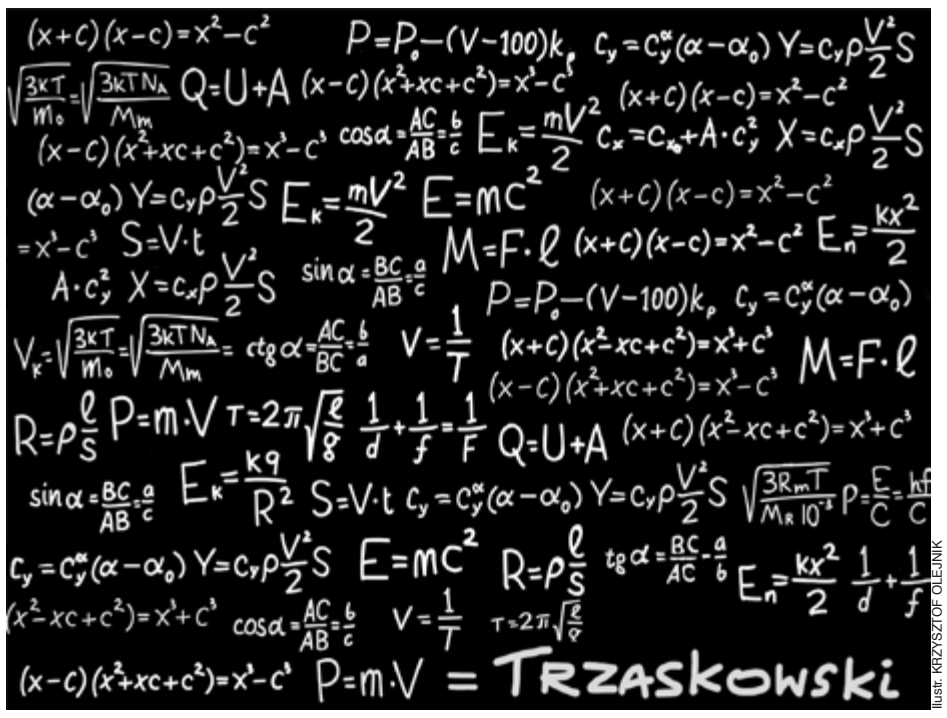

ilust. KRZYSZTOF OLEJNIK

Ewangelia wg Kontka

„Siedzę, płaczę i piszę ten list, bo złość, którą mam w sobie, musi znaleźć ujście" – zaszlochała na łamach „Gazety Wyborczej" osoba podpisana „Lekarz z 40-letnią praktyką, nazwisko do wiad. redakcji". Osoba owa domaga się od „Szanownego Pana Premiera i całej Koalicji", żeby „udowodnili, że każdy głos się liczy".

To ulubiony motyw obecnej kampanii, wszczętej przez Giertycha i skwapliwie podchwyconej przez antypisowski komentariat, a także, do pewnego stopnia, przez premiera. Nie jesteśmy Trumpem, nie mówimy, że wybory zostały sfałszowane, w zasadzie nawet nie podważamy ich wyników, ale przecież obywatele mają prawo mieć pewność, że każdy ich głos został policzony, bo jak któryś się dowie, że jego wylądował w koszu, to się wypisze z demokracji…

Nurtuje mnie pytanie: skąd obywatel miałby się tego dowiedzieć? Tego, że akurat jego głos, oddany na Trzaskowskiego, został wyrzucony lub zaliczony dla Nawrockiego? W odróżnieniu od dr. Kontka nie przeanalizowałam wyników z wszystkich 32 tys. komisji obwodowych, ale jestem dziwnie pewna, że gdyby trafiła się taka, w której wszystkie głosy dostał Nawrocki, a Trzaskowski ani jednego – to byśmy o tym usłyszeli. A dopóki w każdej z komisji choć jeden głos padł na Trzaskowskiego – każdy platformiany wyborca może się pocieszać, że był to właśnie jego głos. Coś jak ze ślepym nabojem w plutonie egzekucyjnym.

Dr Krzysztof Kontek, matematyk z SGH zajmujący się analizami statystycznymi, to nowa gwiazda antypisowskich mediów. Przeanalizował on wyniki z 32 tys. komisji obwodowych, które podzielił – według kodu pocztowego – na grupy po 10–15. W ramach tych grup – obejmujących „jedną gminę albo dzielnicę, albo część dzielnicy, albo kilka sąsiednich ulic" – wytypował „anomalie".

Anomalie Kontka – co szczerze przyznał w TVN24 – dotyczyły tylko wyników niekorzystnych dla Trzaskowskiego:

„Badałem anomalie przede wszystkim na korzyść Nawrockiego, ale ja do tego, jako badacz, mam prawo". Umówmy się, że ma. Nie jestem pewna, czy w tym kontekście ma prawo występować jako bezstronny ekspert,

kierujący się – jak powtórzyła w programie z tuzin razy red. Kolenda-Zaleska – „czystą matematyką", ale mniejsza o to.

Ważniejsza jest wiarygodność analizy jako takiej. Dr Kontek uważa, że „jeżeli jest kilka czy kilkanaście komisji blisko siebie, to te wzory głosowania powinny być w miarę zbliżone, to znaczy ludzie powinni jakoś tam równo głosować". Wydaje mi się to niejakim uproszczeniem. Sytuacja socjoekonomiczna mieszkańców sąsiednich bloków może być zgoła różna – na przykład pod tym samym kodem pocztowym może być deweloperski apartamentowiec pełen „młodych miejskich profesjonalistów" i stara czynszówka zamieszkana głównie przez emerytów. Co – jak wykazują prawdziwe badania – przekłada się raczej przewidywalnie na ich decyzje wyborcze.

Bajdurzenie dra Kontka nie byłoby specjalnie istotne, gdyby nie to, że stało się źródłem prawdziwej ekscytacji dla wielu antypisowskich aktywistów. Kontek wyliczył bowiem, iż „anomalie" wystąpiły w 5543 komisjach i mogły się przyczynić do wypaczenia wyników o – uwaga – 315 tys. do 457 tys. głosów, na niekorzyść Trzaskowskiego oczywiście. A ponieważ Nawrocki wygrał o 370 tys. głosów, to najpewniej oznacza, że Trzaskowski jest prezydentem.

Rodzi mi się w tym momencie pytanie do specjalisty od statystyki: czy jeśli „anomalia" dotyczy prawie 20 proc. jakiegoś zasobu – to nadal jest anomalią? Ale to mniej ważne.

Ważniejsze jest to, że wynik drugiej tury był tak na dobrą sprawę oczywisty już po pierwszej – kiedy na kandydatów antyrządowych padło 55 proc. głosów (60, jeśli policzyć Zandberga), zaś na ludzi obecnej władzy 40 proc. Jeśli coś w wyniku drugiej tury może budzić zdziwienie – to to, jak niewielką różnicą Trzaskowski przegrał.

Wszystkie te działania – bojowe wezwania i płaczliwe listy, protesty-giertychówki i mądrości-kontkówki – nie przyniosą oczywiście żadnego efektu. Nawrocki wygrał wybory i w sierpniu obejmie urząd. Cała ta akcja ma w istocie rzeczy wymiar terapeutyczny. Jej zadaniem jest podnoszenie na duchu tych wszystkich, którzy ostatnie półtora roku karmili się nadzieją na zmianę w dużym pałacu, a teraz cierpią, bo mają „alfonsa za prezydenta". Kłopot w tym, iż jest to terapia bardzo kosztowna – z punktu widzenia demokracji, społeczeństwa i zaufania obywateli do państwa. Musimy nauczyć się żyć z Nawrockim – tak jak nauczyliśmy się z Dudą, oboma Kaczyńskimi, Szydło i Morawieckim. Im szybciej to zrozumiemy, tym lepiej dla nas wszystkich. Ciągle jeszcze jest szansa na to, żeby PiS za dwa lata nie powrócił do władzy – ale maleje z każdym dniem, w którym rząd zamiast rozwiązywać problemy społeczne zajmuje się walką z opozycją.

AWŁ

MdM, czyli Mieszkanie dla Murzyna

Komu lokale komunalne?

„Rząd Tuska przygotowuje ustawę, dzięki której mieszkania komunalne przejmą nielegalni imigranci" – darły się w ostatnim tygodniu prawicowe media. Oczywiście to gówno prawda, choć faktycznie pewne zmiany majaczą na horyzoncie. Spin doktorzy Kaczyńskiego wzięli na warsztat przygotowywaną przez Ministerstwo Rozwoju i Technologii nowelizację ustawy o lokalach komunalnych. Ministerialne przepisy gestem Robin Hooda mają odebrać bogatym i dać biednym. Proponowane zmiany dopiero trafią na rządowy stół, ale problemy z ich ewentualnym wprowadzeniem już mnożą się jak chętni na lokale.

Niewydolny system mieszkań komunalnych w kraju nad Wisłą – jak wszystko, co polskie – stał się polem do licznych nadużyć. W efekcie brakuje lokali dla osób, które rzeczywiście ich potrzebują. Według różnych szacunków – ok. 2 mln. Ministerstwo Rozwoju i Technologii ambitnie postanowiło ogarnąć ten bajzel i ruszyło z ofensywą ustaw. Pierwsza lada dzień trafi pod obrady sejmu i dotyczyć będzie prawa do takich lokali.

Według danych Głównego Urzędu Statystycznego (GUS) za 2024 r. liczba lokali mieszkalnych w Polsce, na które na koniec roku obowiązywały umowy na najem z mieszkaniowego zasobu gminy (z wyłączeniem lokali zamiennych i tymczasowych pomieszczeń), wyniosła 595,4 tys. Kłopot w tym, że spora część tego zasobu nie służy celowi publicznej polityki mieszkaniowej, którym powinno być zapewnienie kąta tym, którzy nijak nie mogą zapewnić go sobie sami. Przyczyn tego stanu rzeczy jest kilka: gminy nie weryfikują dochodów najemców; mimo że mieszkania komunalnego nie można formalnie odziedziczyć (pozostaje ono własnością gminy), dzieci i małżonkowie mogą kontynuować umowę najmu rodziców, zachowując przy tym niski czynsz; a wiele samorządów wciąż uszczupla zasoby takich mieszkań, wyprzedając je z bonifikatą. To ma się zmienić.

D jak daj

Zgodnie z prawem, by otrzymać mieszkanie komunalne, trzeba mieć wystarczająco niskie dochody. Dowcip w tym, że po przyznaniu kwadratu dochody nie są już weryfikowane, a zarabiający więcej nie są zmuszani do wyprowadzki. Mogą to jedynie zrobić dobrowolnie. Co prawda istnieją przepisy, które pozwalały gminom na kontrolę dochodową wszystkich umów najmu zawartych po 21 kwietnia 2019 r., ale nie zobowiązały ich, żeby te kontrole robiły. Krótko mówiąc, gmina mogła sobie wpisać w programie gospodarowania zasobem mieszkaniowym, że będzie monitorowała zamożność najemców raz na 10 czy 50 lat, albo w ogóle nie zawracać sobie tym dupy. Państwo wymagało jedynie, żeby nie robiła tego częściej niż co dwa i pół roku.

Skutkiem tego co jakiś czas rozkwitał proceder rąbania gmin na czynszach komunalnych przez prominentnych polityków. Aby daleko nie szukać, wystarczy przypomnieć, że w 2023 r. okazało się, że baronowa PiS z południa Polski Anna Paluch od lat 90. zajmowała lokal w Krościenku, za który płaciła 116 zł z groszami. Mimo że zgodnie z jej oświadczeniem majątkowym za 2022 r. dieta, uposażenie poselskie i emerytura pani poseł oscylowały w granicach 304 tys. zł, co dawało blisko 25 koła dochodu miesięcznie. Głośno było też np. o wicemarszałku województwa świętokrzyskiego z PiS Marku Bogusławskim, który od lat mieszka w lokalu komunalnym gminy Jędrzejów, płacąc zaledwie 300 zł miesięcznie, choć jego zarobki sięgają 38 tys. zł na miesiąc.

Wiceminister rozwoju i technologii Tomasz Lewandowski zapowiedział ukrócenie tego procederu. Wedle nowych przepisów weryfikacja dochodowa ma być dla gmin obligatoryjna i odbywać się minimum raz na pięć lat. Co z najemcami, którzy przekroczą próg dochodowy? Opcje są dwie: albo wypowiedzenie umowy, albo opłata czynszowa zbliżona do czynszu rynkowego. Wiceminister zapewnia, że bliższa mu jest filozofia drugiego rozwiązania, żeby nie karać lepiej zarabiających i zachować miks społeczny w komunalnych budynkach.

Na dokładkę gminy zyskają dodatkowe narzędzie weryfikacji stanu majątkowego. Obecnie chętni do najmu lokalu komunalnego składają oświadczenie o nieposiadaniu prawa do lokalu w gminie, w której ubiegają się o mieszkanie albo w gminie pobliskiej. Jeśli ktoś przypadkiem jest właścicielem domu jednorodzinnego, wciąż może ubiegać się o takie mieszkanie. Nowe przepisy będą stanowić, że posiadanie chaty będzie nie tylko podstawą do odmowy przyznania kąta, ale w przypadku trwania umowy – do jej wypowiedzenia. To przykra informacja dla sędziego Piotra Schaba, protegowanego Ziobry, który w najem mieszkania komunalnego w sąsiedztwie warszawskich Łazienek wszedł po rodzicach, mimo że posiada blisko 130-metrowy dom w powiecie są-

eprasa.pl 86a6214840

Brońmy ustawy zasadniczej przed Dudą

KONSTYTUCJA

Rycerze praworządności! Wojownicy demokracji! Niezłomni obrońcy zasad! Na miłość boga nieistniejącego, nie zmieniajcie konstytucji razem z Andrzejem Dudą!

Nie jestem pewna, czy odchodzący prezydent jest świadomy, iż jest postacią raczej humorystyczną – nie robi wrażenia osoby o wysokiej samoświadomości – ale pewnie nawet on czuje, że jego dziedzictwo jest dość miałkie. Na pewno rozumie to Marcin Mastalerek, który od półtora roku usiłuje wykreować Adriana na twardziela, z dość mieszanymi rezultatami. Mam podejrzenie, że pomysł obsikania konstytucji na odchodne jest jego autorstwa. Tak przynajmniej można wnioskować z ognia, z jakim ideę tę reklamuje.

W poniedziałkowy poranek szef gabinetu prezydenta poszedł do Piaseckiego do Tefałenu, żeby nakrzyczeć na sejm i marszałka, iż jeszcze nie przyjęli dudowego projektu wpisania do konstytucji minimalnych wydatków na wojsko na poziomie 4 proc. PKB. Projekt został zgłoszony w marcu, pierwsze czytanie odbyło się na początku czerwca, po czym papier spoczął spokojnie w komisji obrony, gdzie powinien dokończyć żywota. I na to się zanosiło, bo w koalicji rządzącej entuzjazmu wobec prezydenckiego projektu nie było.

Europa się łasi

Wiceminister finansów Hanna Majszczyk poinformowała sejm, iż rząd nie ma stanowiska w tej sprawie, KO była raczej niechętna „zamienianiu konstytucji w ustawę budżetową", lewica była wprost przeciw. Konfederacja też. Za były PiS i PSL. Zmiana konstytucji wymaga dwóch trzecich głosów, więc wyglądało na to, że projekt zdechnie. Atoli w tym tygodniu, w związku ze szczytem NATO w Hadze, upiór odżył.

Na szczycie tym kraje NATO ustaliły, że będą dążyć do wydawania 5 proc. PKB na obronność do 2035 r. Głównie po to, żeby podlizać się Przywódcy Wolnego Świata. W kampanii – jak wszyscy pamiętają – Trump ogłosił, że jeśli ktoś „zalega" z wydatkami na zbrojenia, to nie będzie go bronił przed Rosją, a wręcz przeciwnie, będzie „zachęcał Rosjan, żeby zrobili z nim, co sobie, do diabła, życzą". Amerykański prezydent wydatki obronne w ramach NATO rozumie jako zakupy amerykańskiej broni i nikt nie ma odwagi mu powiedzieć, że to nie do końca tak działa – stąd popularne wśród europejskich polityków przekonanie, że jak wywalą 5 proc. PKB na tzw. obronność, to wujek Donald ich polubi. Szczególnie merdają ogonem w tej sprawie politycy polscy.

Utrwalając ich w tym szczeniackim myśleniu, rzeczniczka Trumpa Karoline Leavitt ogłosiła, że prezydent USA „chce widzieć wszystkie europejskie kraje" w gronie wydających 5 proc. „To sprawiedliwe, biorąc pod uwagę, jak wielką część wydatków, liczoną w miliardach dolarów na wsparcie naszych wspólnych interesów i naszej obrony" przekazali amerykańscy podatnicy. Zabawny element tej sytuacji jest taki, że Trump ogłosił, iż USA czują się wyłączone z nowego limitu, bo „przez tak długi czas wspierały NATO".

Oczywiście można na to spojrzeć z drugiej strony: NATO, przynajmniej od upadku Związku Radzieckiego w 1990 r., nie jest „sojuszem obronnym", tylko organizacją gwarantującą hegemonię USA na tzw. kolektywnym Zachodzie. W historii Traktatu Północnoatlantyckiego nie było takiej sytuacji, żeby Ameryka obroniła jakiegoś swojego mniejszego sojusznika przed czymkolwiek. Słynny art. 5 został w historii uruchomiony jeden raz – na życzenie USA. Po atakach z 11 września 2001 r. Bush wezwał sojuszników na „wojnę z terrorem", która zakończyła się katastrofalnymi napaściami na Afganistan i później – już nie w ramach NATO – na Irak.

Hiszpan się stawia

Wracając do dnia dzisiejszego: poza Stanami, które uważają, że ich własne wymogi ich nie dotyczą, z absurdalnego wyścigu zbrojeń wyłamała się też Hiszpania, której lewicowy rząd ma jaja – czego nie da się powiedzieć o innych europejskich przywódcach. Pedro Sánchez w liście do sekretarza generalnego NATO Marka Rutte wyjaśnił to dość bezkompromisowo: koncept wydawania 5 proc. PKB na zbrojenia jest „niezgodny z naszym państwem opiekuńczym", wydatki takie wymagałyby „podniesienia podatków dla ludzi pracy, cięcia usług publicznych i świadczeń socjalnych dla obywateli". I zakończył: „Każdy rząd ma prawo decydowania, czy chce dokonać takich poświęceń, czy też nie. Jako suwerenny sojusznik zdecydowaliśmy się tego nie robić".

Hiszpański premier wynegocjował w tej sprawie układ nieco nacechowany hipokryzją: Hiszpania nie zawetowała konkluzji szczytu, ale w zamian sama nie musi się do nich stosować.

W ślad za Hiszpanią poszła Słowacja. „Słowacja ma inne priorytety niż zbrojenia w nadchodzących latach, dla nas to czas uzdrawiania budżetów publicznych i nadrabiania zaległości w stosunku do przeciętnego standardu życia w UE. Słowacja, podobnie jak Hiszpania, musi zachować suwerenne prawo do decydowania, w jakim tempie i w jakiej strukturze jest gotowa zwiększyć budżet Ministerstwa Obrony" – ogłosił premier Robert Fico. I dodał, że wszelkie zwiększenie wydatków w przyszłym roku zostanie przeznaczone na projekty podwójnego zastosowania, takie jak drogi i szpitale.

Podobna postawę prezentuje Belgia, która ogłosiła, że będzie dążyć do „maksymalnej elastyczności" ze strony NATO. „Może nie robiliśmy tyle hałasu, co Hiszpania, ale mogę zapewnić, że od tygodni nasi dyplomaci ciężko pracowali nad uzyskaniem mechanizmów elastyczności" – mówi minister spraw zagranicznych Maxime Prévot.

Zły przykład, idący od Sancheza, oburzył różnych podżegaczy wojennych w stylu Władysława Kosiniaka-Kamysza, który ogłosił, że „nie jest zwolennikiem robienia wyjątków dla Hiszpanii", i postraszył Sancheza, że „niebezpieczeństwo w Hiszpanii jest coraz poważniejsze", bo „Rosjanie są wszędzie".

I to jest, jak się zdaje, kwintesencja dyskusji.

Putin sobie dworuje

Lewicowy rząd Hiszpanii, odmawiając udziału w wyścigu zbrojeń, ma odwagę przyznać, że nie ulega budowanej przez elity kolektywnego Zachodu histerii w sprawie zagrożenia ze strony Rosji. Oczywiście odpowiedzią na to – zwłaszcza ze wschodniej flanki – jest wytykanie Hiszpanom, że są niekoleżeńscy, bo do Rosji mają daleko. W tym miejscu można by pewnie wspomnieć, że dekadę temu Polska miała daleko do szlaków, którymi do Europy przybywali uchodźcy z Iraku, Afganistanu i Syrii – i też jakoś nie wykazywaliśmy się koleżeństwem wobec Hiszpanii, która była w tych szlaków centrum. Ale nie to jest najważniejsze. Prawdziwa dyskusja dotyczy tego, czy cała Europa – od Finlandii po Portugalię – ma powody obawiać się Rosji.

Cytowanie Władimira Putina jest dziś w Polsce nieomal karalne, ale zaryzykuję. Na Międzynarodowym Forum Ekonomicznym w Petersburgu, 19 czerwca, prezydent Rosji wygłosił monolog, w którym pobrzmiewało ironiczne rozbawienie, kiedy mówił o „legendzie, że Rosja planuje napaść na kraje NATO".

– Przecież ci, którzy to mówią, sami w to nie wierzą. Czy chociaż jeden z was wierzy, że Rosja się przygotowuje do ataku na NATO? – pytał zebranych, wśród których byli przedstawiciele Zachodu (acz pewnie zaprzańcy). – Państwa NATO wydają 1,4 biliona dolarów na uzbrojenie. To więcej niż reszta świata, z Rosją i Chinami włącznie. I my mamy ich napaść? Cóż to za nieprawdopodobna brednia! – mówił Putin i ja się z nim, strach przyznać, zgadzam.

Głównie dlatego, że – żeby zacytować klasyka – oczywistość tego stwierdzenia jest oczywista: Rosja nie ma ani sił, ani środków do napaści na NATO; nie ma też w niej żadnego interesu.

Sprzedawcy strachu także to wiedzą, stąd usiłują uwiarygadniać swe groźby, odsuwając je w czasie: prawda, dziś Rosja nie jest w stanie zaatakować NATO – ma kłopot nawet z Ukrainą – ale w 2029 r… Jakie strategiczne cele miałyby towarzyszyć Rosji w napaści na Sojusz Północnoatlantycki, nikt nie próbuje nawet wyjaśniać, zastępując logikę wywodem o nieśmiertelnym ruskim imperializmie.

Polscy entuzjaści wyścigu zbrojeń są jednak świadomi, że jest to argument całkiem gówniany i na dłuższą metę się nie obroni. Wojna na Ukrainie się skończy i nastąpi jakaś normalizacja stosunków między Rosją a Zachodem – który coraz bardziej tęskni do epoki beztroskiego rozwoju, tanich źródeł energii i poczucia bezpieczeństwa, jakie cechowały pierwsze ćwierćwiecze po upadku żelaznej kurtyny. Już dziś polskie społeczeństwo – choć straszone Ruskimi przez wszystkich, od prawa do lewa – zgłasza wątpliwości co do wyścigu zbrojeń.

Polacy zaczynają się zastanawiać

Kwietniowy sondaż IBRiS wykazał, że 73,5 proc. Polaków popiera wzrost wydatków zbrojeniowych – przeciw było 20 proc. Ale kiedy zapytano, czy wzrost ten ma się odbywać kosztem polityki socjalnej, służby zdrowia etc. – a tak oczywiście będzie, bo skąd inaczej brać kasę – poparcie spadło do 50,6 proc., niezgoda wzrosła do 43.

I to właśnie martwi Mastalerka i jego produkt marketingowy zwany prezydentem: że w przyszłości do władzy mogą dojść politycy, którzy będą słuchać społeczeństwa, zamiast je straszyć i pouczać.

Szef gabinetu prezydenta powiedział to mniej więcej wprost.

– Dlaczego musimy to zrobić? – zapytywał Mastalerek sam siebie. I sam sobie odpowiadał: – Dlatego, że niektórzy nieodpowiedzialni politycy w przyszłości, kiedy sytuacja na świecie będzie bardziej spokojna, znów będą chcieli obniżać nakłady na zbrojenia. A my jesteśmy w takiej sytuacji geopolitycznej, w takim miejscu na mapie, że nasza sytuacja taka zawsze będzie…

Otóż gówno prawda. Nie była przez pierwsze dwie i pół dekady po upadku ZSRR – i zaryzykuję stwierdzenie, że nadal nie jest; skoro nikt mi nie wyjaśnił, po co Rosja miałaby nas napadać.

Ale utrzymywanie społeczeństwa w stanie permanentnego lęku powoduje, że łatwiej nim manipulować. Wszystkie niepowodzenia w polityce społecznej i gospodarczej – płynące np. z wyboru priorytetów władzy („przedsiębiorcy", a nie pracownicy) – można zrzucić na sytuację międzynarodową, zagrożenie wojną, konieczność utrzymywania stanu ciągłej gotowości. To oczywiście jest w interesie rządzących – ale bynajmniej nie w interesie rządzonych.

Obecna władza nie ma moralnego prawa wprowadzać zmian, które uniemożliwią mądrą, nakierowaną na zaspokajanie potrzeb społecznych politykę przyszłym rządom – kiedy takie wreszcie nadejdą, po wykopaniu tuskistów i kaczystów.

A jeśli argument moralny nie działa – to może warto zastanowić się, czy naprawdę chcemy przez następne dekady mówić o „poprawce Dudy" – tak jak mówimy dziś o „podatku Belki"? Czy naprawdę akurat Adrian zasługuje na takie uwiecznienie?

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Marcin Mastalerek, hmm… Jest jak nietoperz: dokądkolwiek przyleci, to albo we włosy człowiekowi się wkręci, albo do krwi w szyję ukąsi. Przyleciał na „Śniadanie Rymanowskiego" w Polsacie i pokłócił się ze Zbigniewem Konwińskim z Platformy Obywatelskiej i Mirosławem Suchoniem z Polski 2050. Przyleciał na „Rozmowę Piaseckiego" w TVN24, łypnął ślepiem, dziennikarza przecież nie ugryzie, a zęby swędzą… No to na pochyłego Tuska skoczył – że zwycięstwa Nawrockiego nie może ścierpieć. „Pamiętam, jak nie mógł się pogodzić w 2005 r., jak doprowadził wtedy do wojny z prezydentem Lechem Kaczyńskim. Myślę, że dziś właśnie z tych politycznych powodów doprowadzi do jeszcze większej wojny z Karolem Nawrockim", bo „wojna opłaca się Platformie Obywatelskiej i personalnie Donaldowi Tuskowi, a nie opłaca się Polsce" – powiedział Mastalerek. I dalej na tej nucie: „Myślę, że to będzie gigantyczna wojna ze strony Donalda Tuska". Oraz: „Gdybym miał doradzać coś Karolowi Nawrockiemu, to właśnie tak bym mu doradził: niech pan się szykuje na wojnę, bo Donald Tusk rozpęta przeciwko panu wojnę".

Mastalerków nie sieją – można powiedzieć i machnąć ręką. A może właśnie sieją? Kto sieje Mastalerka, ten zbiera wojnę.

---

siadującym z Warszawą. W kwestii dziedziczenia umów najmu też szykują się zmiany.

Za mamusię, mężusia i bonifikatę

Obecnie stałe zamieszkiwanie z rodzicem czy małżonkiem mającym umowę najmu komunalnego gwarantuje, że w chwili jego zgonu wchodzi się automatycznie w stosunek najmu. Zdarza się zatem tak, że mieszkania z automatu trafiają do osób, które podwyższyły swój standard życia, ale dalej płacą niski czynsz i gmina w tej sytuacji może co najwyżej cmoknąć się w pompkę.

Projektowana zmiana ma znieść ten automatyzm. Współmałżonkowie i dziatwa sztywnego najemcy będą mogli zwrócić się do gminy o zawarcie umowy, jednak tak jak wszyscy zostaną prześwietleni pod względem majątkowym i dochodowym. Tak jest dziś w przypadku wnuków zamieszkujących z dziadkami.

Pojawią się też nowe zasady weryfikowania deklarowanego składu osobowego, bo zdarza się, że najemcy lokali komunalnych podnajmują je innym lokatorom za ceny rynkowe.

Niewesołą dla samych gmin i lokatorów komunałek będzie wiadomość o planach likwidacji możliwości sprzedaży majątku komunalnego z bonifikatą. Lokale komunalne, szczególnie w starszych budynkach, generują wysokie koszty remontów, konserwacji i administracji. Sprzedaż ruder najemcom z 50- czy 90-procentowym upustem pozwala gminom pozbyć się inwestycyjnego balastu, a jednocześnie wciąż jest zastrzykiem gotówki. W ten sposób z jednej strony wieloletni najemcy o niskich dochodach zyskiwali szansę na posiadanie własnego kawałka podłogi, co dawało poczucie stabilności (oczywiście nie tylko tacy...), z drugiej pojawiały się oskarżenia o uwłaszczanie się lokatorów na publicznym majątku.

Dziś decyzja o sprzedaży zależy od samorządów. Nowe regulacje zakładają odgórny zakaz handlu mieniem komunalnym po zaniżonych cenach. Jeżeli samorząd uzna, że z punktu widzenia efektywności zarządzania majątkiem racjonalnie jest sprzedać dany budynek, będzie mógł to zrobić, ale bez bonifikat. Pozyskane pieniądze będzie zaś zobowiązany przeznaczyć na nową mieszkaniówkę.

Pożar w burdelu

Chociaż kierunek planowanych zmian wydaje się właściwy, już pojawiają się obawy związane z egzekwowaniem nowych przepisów. Gminy często nie mają odpowiednich narzędzi administracyjnych ani wystarczających zasobów ludzkich, żeby skutecznie przeprowadzić kontrole. Brakuje chociażby centralnego rejestru mieszkań i dostępu do informacji o księgach wieczystych, w związku z czym urząd nie może w łatwy sposób zweryfikować, czy lokator komunalny nie jest właścicielem innego lokalu poza danym miastem, i trzeba występować z takim zapytaniem do każdej gminy osobno.

Część samorządów świadomie unika jakiejkolwiek weryfikacji, aby nie zaogniać relacji z obywatelami, szczególnie w okresach wyborczych, a że w Polsce co rusz są jakieś wybory, koło absurdu się zamyka.

Wieloletni najemcy, którzy przez dekady bulili karnie czynsz i dbali o lokale własnym sumptem remontowym, często oczekują możliwości wykupu na preferencyjnych warunkach i nowe regulacje (podobnie jak brak automatycznego dziedziczenia prawa najmu) mogą ich – delikatnie mówiąc – wkurwić. Wedle zapewnień wiceministra Lewandowskiego w komisjach sejmowych panuje ponadpartyjne poparcie dla proponowanych zmian, ale prawicowa narracja polityków PiS i Konfederacji o rzekomym odzyskiwaniu mieszkań przez samorządy dla beneficjentów z Paktu Migracyjnego zdaje się temu przeczyć. Pytanie, co z projektem zrobi rzekomo prospołeczny prezydent Nawrocki, pozostaje zatem otwarte.

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl 86a6214840

SŁOWO CZERWONE

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Lud tęskni za monarchią

Niech żyje król!

Największym zaufaniem cieszy się w Polsce Aleksander Kwaśniewski. Lewicowy to on za bardzo nie był, ale nominalnie reprezentował lewicę. Za to miał cechę, której pozbawiona jest zdecydowana większość polityków współczesnych: był sympatyczny. A teraz, kiedy nie pełni już żadnych funkcji publicznych, dodatkowo zmądrzał. Nie broni podjętej wbrew większości Polaków decyzji o naszym udziale w ataku na Irak. Tłumaczy to koniecznością odwdzięczenia się Amerykanom za przyjęcie do NATO.

Nie walcząc o słupki poparcia, ma odwagę przeciwstawić się antyimigracyjnej histerii i stwierdzić, że bez imigracji europejska gospodarka skona w ciągu najbliższych 10 lat.

Mimo zdecydowanego dryfu w prawo polskiej sceny politycznej fakt, że Polacy najbardziej ufają politykowi z lewicy, jest pocieszający.

Wielokrotnie odwiedzałem go w pałacu, moje biuro poselskie było tuż obok na Krakowskim Przedmieściu. Starałem się go przekonywać do swoich socjalistycznych idei. A Kwaśniewski jak mało kto umiał słuchać. Zwykle z tych rozmów człowiek wychodził zadowolony, choć to do niczego nie prowadziło. Kiedyś wychodziłem z gabinetu prezydenta jak zwykle z uczuciem satysfakcji, a wchodził Bronisław Geremek – naszła mnie refleksja, że on również wyjdzie zadowolony.

Takim prezydentem był Kwaśniewski. Jeździł papamobile i doprowadził do konkordatu. A jednocześnie polecił ministrowi Siwcowi całować ziemię kaliską. Dla każdego coś miłego. Jak to się stało, że gość, który potrafił zakpić z papieża Polaka, cieszy się dziś takim zaufaniem?

Lech Kaczyński w Katyniu zginął. Kwaśniewski zataczał się nad grobami ofiar ciężko pijany. Ale rodacy mu wybaczyli, bo fajny był z niego chłop. Na tle powszechnego politycznego mordobicia jego wyważone, często przenikliwe wypowiedzi robią wciąż wrażenie. Jest stworzony do polityki. Mówił zawsze na tyle ogólnikowo, że nikogo nie zrażał do siebie. Posiada też umiejętność niezwykle rzadką i cenną: pamięć do twarzy i nazwisk. Nigdy nie zapomnę, jak weszliśmy w czasie jakiejś kampanii do domu nauczyciela w Kielcach, a Kwas serdecznie przywitał szatniarza po imieniu. Znał nie tylko jego imię, ale pamiętał też, ile szatniarz ma dzieci i jak się nazywa jego żona.

Jak co roku PPS organizował pochód 1 maja, a prezydent Kwaśniewski – wielka ucztę w ogrodach pałacowych. Pewnego roku zaprosiliśmy do Warszawy na pochód organizacje bezrobotnych. Przyjechało jakieś 200 osób z rejonów popegeerowskich. Przyszło mi wtedy do głowy zadzwonić do prezydenta. Powiedziałem, że jest z nami duża grupa osób zmęczonych podróżą i głodnych. Kwaśniewski natychmiast zaprosił wszystkich na ucztę Baltazara w swoich ogrodach.

Nie wiem, jaki jest teraz, ale w czasach prezydentury był postacią niezwykle barwną. Potrafił uciec przez okno po drabinie przed dziennikarzami. A mimo różnych tego typu wyskoków większość uważa, że godnie reprezentował nasz kraj na arenie międzynarodowej. Człowiek, któremu Wałęsa chciał podać nogę, jako jedyny uzyskał reelekcję w pierwszej turze.

Czy wynik tego badania opinii publicznej ma jakieś głębsze znaczenie polityczne? Oczywiście, że nie. Za Kwaśniewskiego byliśmy młodsi. Dzisiejsza polityka jest obrzydliwa i strasznie agresywna, więc z nostalgią wspominamy czasy, kiedy kohabitacja między prezydentem z lewicy a prawicowym rządem Buzka była harmonijna i przede wszystkim – kulturalna.

A przecież to właśnie wtedy działy się w Polsce okropne rzeczy. Prywatyzacja, tajne więzienia CIA, masowe bezrobocie. Ale to wszystko szło na karb kolejnych premierów. Aleksander Kwaśniewski, wiecznie uśmiechający się uroczy ojciec narodu, przeszedł ten trudny czas suchą nogą. Bo się nie awanturował, nikogo nie obrażał. Starał się żyć dobrze ze wszystkimi. Nie walczył zawzięcie o żadną sprawę. Widać było, że czuje się znakomicie w swojej skórze, dobrze skrojonych garniturach, na ceremoniach i rautach. Ponieważ prezydent nie ma wielkich uprawnień, to wygrywa ten, kto z większą godnością pilnuje żyrandola. Bardziej przypomina króla niż czynnego polityka. A naród królów kocha i trochę tęskni za monarchią.

Choć był to król z odrobiną szaleństwa. Podbijał serca, tańcząc do discopolowego „Ole, Olek!". Jego konkurenci, chcąc zachować godność, musieli wyglądać, jakby kij połknęli.

A za to pierwsza dama z właściwym sobie wdziękiem uczyła Polki, jak fachowo zabrać się do jedzenia bezy. Był nawet taki pomysł, dość monarchiczny, aby to ona wystartowała na prezydentkę, skoro mąż już nie może. I miała nawet duże poparcie w sondażach do czasu, kiedy się okazało, że to niekoniecznie jest żart. Wprawdzie straciliśmy szanse na rządy dynastyczne, ale króla wciąż Polacy kochają.

PIOTR IKONOWICZ

ETYKA BEZBOŻNA

Bez gwarancji

Demokracja a moralność

Wybieralim, wybieralim, aż wybralim. I teraz mamy kaca. Czujemy się jak po nocy z niewłaściwym typem. Godzina pod prysznicem, wielkie pranie, trzy testy ciążowe, ale nadal wszystko wokół jakby cuchnie. Wstręt, złość na siebie, wstyd. Taka też jest demokracja i jej wybory. Piękna sprawa, ale czasem się trafi nie ten typ co trzeba i wtedy jest klops. W dodatku w aptece nie sprzedają nic, co na podobieństwo „flamastra" mogłoby nam przynieść ukojenie nerwów.

Najlepszy z możliwych ustrojów jest jak najcnotliwsza markietanka. Jedna idzie za wojskiem, pierze, gotuje i pociesza, ale czasem jakaś inna (albo i ta sama) pocieszy bardziej, za dwa soldy. Podobnie jedna subretka grzecznie swojej pani gorset zawiąże, a innej (albo i tej samej) zdarzy się baronetowi za dwa ludwiki pludry rozpiąć. Z demokracją to samo. Raz wybierzemy świętego męża, który z uciech tego świata zna jedynie nabożne dzieciątek płodzenie, pod pierzyną i w nocnej koszuli za kolana, a innym razem utracjusza, bufona i złodzieja, który nijaką ludzką pracą się jeszcze nie splamił, a za to jak już dorwie się do władzy, to ratuj się, kto może.

Demokracja żadnych gwarancji nie daje. Jej wybrańcy wcale nie muszą być lepszymi ludźmi niż dziedziczni książęta krwi i bogacze mający w zwyczaju rządzić, zanim zmiecie ich demokratyczny wiatr historii. Jej moralna przewaga nad wszelką oligarchią i autorytaryzmem polega nie na jej skuteczności, lecz na wartościach, z których bierze swój początek i które podtrzymuje.

Pierwsza z tych wartości to szacunek dla wolności. W poprzednim felietonie cytowałem „Mowę pogrzebową" Peryklesa. Raz jeszcze przypomnę kluczowe zdanie z tego niesamowitego tekstu: „W naszym życiu państwowym kierujemy się zasadą wolności". Takie to dziedzictwo pozostawiła nam demokracja ateńska. Nigdy wcześniej nikt na obronę wolności i prywatności jednostki się w polityce nie zdobył. Jednak ten sam Perykles wskazywał również na inne zalety demokracji. Jest to bowiem taki ustrój, w którym wielu ludzi powołanych jest do pracy na rzecz tego dobra wspólnego, jakim jest państwo. To zaś oznacza, że wielu się angażuje. A gdy wielu ludzi się w coś angażuje, to wspólne przedsięwzięcie udaje się lepiej. Demokracja łączy siły, sprzyja niewymuszonej współpracy i ciągłym kontaktom między obywatelami na gruncie instytucji powołanych do wspólnego obradowania i wspólnego (zwykle przez głosowanie) podejmowania decyzji. Gdy się tak faktycznie dzieje, demokratyczna społeczność może się cieszyć wewnętrznym pokojem. Wszelkie spory i konflikty rozwiązuje bowiem nie przemocą, lecz w drodze dyskusji i negocjacji. Demokracja chroni więc nie tylko wolność, nie tylko prywatność, lecz również pokój, a współpraca wielu zaangażowanych ludzi czyni państwo silniejszym.

Gdy ludzie solidarnie pracują dla wspólnego dobra, to oczekują, że będą mieli w nim równe udziały. Demokracja sprzyja więc równości oraz wytwarza w ludziach poczucie, że nic, co ich dotyczy, nie powinno dziać się bez ich udziału. Z czasem ustrój demokratyczny przestaje być po prostu jednym ze sposobów sprawowania władzy i funkcjonowania państwa, stając się system zabezpieczeń podstawowych praw jednostki, łącznie z prawem do samorządu. W taki sposób demokracja nabiera znaczenia politycznego dobra moralnego.

Skoro nie ma demokracji bez przestrzegania wynegocjowanych w demokratycznym procesie umów i ustaleń, bez zabezpieczenia równych praw stron demokratycznego sporu i demokratycznego współdziałania obywateli, to tym samym demokracja musi iść w parze z praworządnością. Żadna to bowiem władza ludu, gdy ktoś może w każdej chwili wywrócić stolik. Umowy muszą być przestrzegane, a demokratycznie uchwalone ustawy wprowadzane w życie.

Rys. JANUARY

Wieczne orb

Żywoty polskich kosmonautów przebiją każdą telenowelę

Od 29 maja Sławosz Uznański-Wiśniewski czekał na wystrzelenie w kosmos. Nie próżnował. Ćwiczył w stanie nieważkości. Zdążył już zostać gwiazdą polskich mediów. Zanim oderwał się od ziemi.

Pierwszego polskiego kosmonautę wystrzelił nam Związek Radziecki. W lipcu 1976 r. uczestnicy moskiewskiego spotkania programu „Interkosmos" zostali poufnie poinformowani, że mają szybko wybrać kandydatów na kosmonautów i wysłać ich na szkolenie do ZSRR.

Program „Interkosmos" powstał w połowie lat 60. XX w. Uczestniczyły w nim państwa socjalistyczne zblokowane w proradzieckiej Radzie Wzajemnej Pomocy Gospodarczej. Oddelegowani tam naukowcy zajmowali się badaniami w kosmosie. Ale w lotach kosmicznych nie uczestniczyli. Te były zarezerwowane dla ludzi radzieckich.

W jawę zmienia sny

Polska reprezentacja nie należała do prymusów „Interkosmosu". Rząd polski nie przesadzał w dofinansowaniu wspólnego programu. W przeciwieństwie do Czechosłowacji i NRD. Zatem pojawiło się zagrożenie, że pierwszy Polak w kosmosie będzie zamykać peleton pierwszych kosmonautów z innych państw socjalistycznej wspólnoty.

Wówczas polska ekipa sięgnęła po intrygi, obstrukcję w pracach programu i umizgi do radzieckiego Wielkiego Brata. Wszystko, co Polacy potrafią najlepiej. W efekcie tych starań w Moskwie polubownie zdecydowano, że jako pierwszy poleci Czech, drugi będzie Polak, a za nim dopiero enerdowiec. Skoro Polak wyprzedził Niemca, to Warszawa honoru nie straciła. Wtedy pozostało jedynie wybrać kandydatów na pierwszego.

Wybory przeprowadzono w ścisłej tajemnicy. Od początku przyjęto prymat propagandy nad efektami naukowymi. Zresztą nie było czasu, aby taki przygotować i kosmonautę do niego przyuczyć. Postanowiono bowiem rekrutować z grona pilotów wojskowych samolotów ponaddźwiękowych. Licząc, że tylko taki gość lot kosmiczny przeżyje.

Drugim, niezwykle ważnym kryterium były wdzięk, aparycja i czar medialny kandydata. Już wtedy zakładano, że po szczęśliwym wylądowaniu będzie on orbitował po Polsce i świecie, głosząc chwałę Polski Ludowej pod światłym kierownictwem Edwarda Gierka. Dziesiątej potęgi gospodarczej na świecie. Dlatego od początku ten tajny proces selekcji kandydatów był filmowany i dokumentowany przez zaufanych filmowców związanych z wojskową wytwórnią filmową Czołówka. Ściśle tajnie opracowano też przyszłą kampanię propagandową: filmowe newsy, radosne piosenki, plakaty i fotki kandydatów. Po żmudnej selekcji z 70 z nich do radzieckiego Gwiezdnego Miasteczka trafiło czterech polskich kandydatów. Tam wybrano dwóch: podpułkownika Zenona Jankowskiego i majora Mirosława Hermaszewskiego. Ostateczna decyzja miała należeć do władz polskich.

Decyzję podjęła najwyższa polityczna góra, czyli Biuro Polityczne Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Wybrano pilota niższego stopniem, ale mającego lepszą prezencję, erudycję, elokwencję i świetną znajomość języka rosyjskiego, majora Mirosława Hermaszewskiego.

Wybór był merytoryczny. Nie jak w bratniej Czechosłowacji, której władze przepchnęły cierpiącego na otyłość, ledwo mieszczącego się w kabinie Vladimíra Remka tylko dlatego, że był synem ówczesnego wiceministra obrony narodowej.

Duma naszych dni

Mirosław Hermaszewski był synem przedwojennego podoficera Wojska Polskiego, wojskowego osadnika na Wołyniu. Ale o tym wtedy nie wspominano. Po szczęśliwym wylądowaniu 6 lipca 1978 r., po ośmiu dniach w kosmosie, major Hermaszewski rozpoczął żywot pierwszego polskiego lotnika-kosmonauty. Polaka-kosmonauty.

Na Ziemi pierwsza przywitała go polska delegacja. Były w niej jego nauczycielka z liceum w Wołowie Józefa Hajdo i kapitan Krystyna Chojnowska-Liskiewicz, pierwsza kobieta, która jachtem opłynęła kulę ziemską. A także godna reprezentacja górników i metalowców. Potem major Hermaszewski wraz ze swym kosmicznym dowódcą, radzieckim kosmonautą Piotrem Klimukiem, zostali przyję-

eprasa.pl 86a6214840

Co więcej, skoro demokracja opiera się na równości i sprzyja równości, dochodząc w końcu do idei „nic o nas bez nas”, to na pewnym etapie jej rozwoju zaczyna się traktować prawo jednostki do udziału w rządzeniu jako prawo podstawowe i uniwersalne. Uniwersalne – to znaczy należne wszystkim bez względu na urodzenie, status społeczny, narodowość, a w końcu i płeć. I tak to właśnie wygląda w naszej, czyli nowoczesnej, demokracji. Grekom to się jeszcze nie śniło.

No właśnie. Demokracja przeorała nasze pojęcia moralne. Dziś uważamy za rzecz oczywistą, że wszyscy powinni mieć równe prawa, a dyskryminowanie kobiet albo osób należących do mniejszości etnicznych, religijnych czy seksualnych uważamy za niemoralne. Ale takie przekonanie etyczne upowszechniło się dopiero w ciągu minionych kilkunastu dekad! Wcześniej wyznawano przekonania wręcz przeciwne. Tak samo sprawa miała się z niewolnictwem. Zostało ono odrzucone przez nowo powstałe Stany Zjednoczone właśnie dlatego, że było sprzeczne z demokratycznymi zasadami równości, poszanowania wolności, samorządności społecznej i godności każdej jednostki.

Dlatego dziś traktujemy system demokratyczny jak coś, co się nam po prostu należy, by zacytować klasyczkę. I choć na całym świecie wszelkiej maści łajdacy używają demokracji do zaprowadzenia dyktatury i despotii, to nawet oni nie śmią podważać jej pryncypiów. Nie tylko ją wychwalają, ale bardzo dbają o zachowanie jej pozorów. Nawet Korea Północna ma demokratyczną konstytucję, parlament i inne atrapy instytucji demokratycznego państwa prawa. Wynika to nie tylko z wielkiego autorytetu, jakim cieszy się na całym świecie demokracja i związane z nią wartości, lecz również z tego, że kto zdobył władzę w wyniku wyborów, ten sam siebie uważa i przez innych uważany jest za szczególnie uprawnionego (posiadającego mandat) do sprawowania władzy.

Tymczasem prawo do rządzenia innymi bierze się nie tylko z ich woli wyrażonej w wyborach, lecz jeśli ma być czymś więcej niż czysto formalnym mandatem, to musi mieć potwierdzenie w sprawiedliwym i praworządnym wykonywaniu władzy. Tego akurat wynalazek demokracji nie zmienił.

Zawsze i wszędzie, w demokracji i w tradycyjnym ustroju opartym na władzy klasy uprzywilejowanej, dobra władza musi opierać się na mądrości i cnocie. Demokracja, mimo całej swojej wzniosłości, nie jest w stanie tego zagwarantować.

To od nas zależy, kogo sobie wybierzemy, a wybrany na wysokie stanowisko łachudra i dureń nie przestaje nim być tylko dlatego, że „ludzie go wybrali”. Demokracja jest ustrojem prawdziwie etycznym, lecz nikogo nie uświęca ani nie rozgrzesza.

JAN HARTMAN

Gdy niemowlak staje się biznesem

Święta rodzina

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Media obiega historia śmierci czteromiesięcznego Oskara z warszawskiej Pragi. Zabrano go w wyniku interwencji policyjnej – bo jego młoda mama akurat teraz musiała trafić do paki – do rodziny zastępczej na Saskiej Kępie, gdzie najprawdopodobniej się zadławił ze skutkiem śmiertelnym. Ile tam był? Mówi się o czterech dniach. Nucę sobie, fałszując okropnie, Marylę Rodowicz…

Nie rozkminiam wszystkich pojawiających się oświadczeń i relacji, bo robi się z tego istny „Rashōmon” Kurosawy. Większość odpowiedzi znajdziecie w kodeksie karnym i w kodeksie postępowania karnego. Plus w okólnikach Służby Więziennej. Dodam tylko, że art. 286 kk, czyli oszustwo, podlega również tylko karze grzywny, która niefortunnie została nazwana mandatem. Grzywnę można nałożyć w drodze mandatu albo może wlepić ją sąd. Mama Oskara odpowiada z 286 kk. Nie róbcie z ludzi większych patusów, niż to wypada, moi kochani mundurowi, bo po prostu daliście dupy. Nie wy jedni zresztą. A za chwilę może się okazać, że wy akurat to najmniej.

Wspominam rozmowę z ziomem, który klarował mi, jak bardzo jest upokarzające, kiedy z więzienia do lekarza w tzw. normalnym szpitalu trafiasz w uniformie i kajdankach zespolonych. „Zdrowe”, aczkolwiek kwękające społeczeństwo i personel traktują cię jak powietrze morowe. Zakładam, że mama Oskara znana teraz jako Magda W. nie czuła żadnego upokorzenia na pogrzebie swojego niemowlaka, kiedy została w podobnym stroju doprowadzona na cmentarz. Wszakże była nawalona lekami uspokajającymi jak bąk, a naprawdę jak traci się dzieciaka najprawdopodobniej jeszcze w okresie laktacji i niewygojonego krocza, to kajdanki są mniejszym szczegółem. Tak czy siak, największym przegranym jest mały Oskar.

Mniej więcej w tym samym czasie pojawił się reportaż TVP, który nagłośnił poseł SLD Łukasz Litewka. Jeżdżącej na wózku Patrycji (jak i w poprzednim przypadku nie mamy tu do czynienia z samotną matką) zabrano dziecko po porodzie. Zdrowy noworodek gagrował kilka tygodni w szpitalu (pobyt opłacany przez NFZ), po czym wysłano dzieciaka jak tobół do rodziny zastępczej – 500 km od rodziców. Ale sąd wydał zgodę na tzw. widzenia. Młodych do opieki społecznej podpierdolił sam szpital, gdzie uznano, że kobieta na wózku nie da rady opiekować się dzieciakiem.

Dalej opieka społeczna, korzystając ze swoich szerokich kompetencji, skierowała sprawę na drogę sądową – efekt: zabrany dzieciak. I żeby było jasne: w przypadku Oskara o wyborze rodziny zastępczej i tzw. przyległościach też zadecydowały urzędasy z opieki społecznej. W dodatku zabrano dwoje dzieci: czteromiesięcznego Oskara i jego trzyletnią siostrę Lenę, a rodzeństwo rozdzielono. Co się przejmować trzyletnią szczeniarą? Niech się uczy życia od maleńkości i niech jeszcze dziękuje, że żyje!

Gdyby nie śmierć Oskara, zdawałoby się, że opieka nad noworodkiem jest prostsza niż nad dzieckiem starszym. W końcu nie popierdala ci po mieszkaniu i łatwiej upilnować. Teoretycznie tak jest, ale praktyka zawiodła. Dawniej noworodki masowo umierały z powodu chorób zakaźnych i głodu. Są jeszcze choroby wrodzone i galopujące nowotwory – również wrodzone. A, zapomniałabym, że istnieje jeszcze przerażający fenomen śmierci łóżeczkowej. Poza tym niemowlaki nie umierają w Polsce, chyba że zdarzy się nieszczęśliwy wypadek (z pecha lub braku należytej uwagi bądź kretynizmu opiekunów) albo ktoś wsadzi celowo dzieciaka do mikrofalówki.

Niemowlaki są zatem bardzo pożądanym kąskiem dla rodzin zastępczych. Kasa taka jak przy starszym dzieciaku, a kłopotów mniej. I nie dajcie się nabrać na narrację, że rodzin zastępczych w Polsce brakuje. To nieprawda. Po prostu rodziny zastępcze wolą brać jak najmniej problemowe dzieciaki w dodatku z najmniej problemowych rodzin. Nikt nie chce sprowadzić sobie na głowę małego kolesia, który nocą może ci sprzedać kosę pod żebro, ani nawet miłego chłopaczka, ale z wkurwionym tatusiem, który może odnaleźć rzeczoną rodzinę zastępczą i odwiedzić ją z bandą kumpli.

Kiedy rodzina zastępcza staje się ciałem nie z tzw. porywów serca – bo przecież i tak jest – lecz z uwagi na dochodowy biznes, to na noworodki z rodzin niepatologicznych poluje się tak, jak Herod polował na świeżo obrzezanego Jezusa.

Podobnie zresztą domy opieki dla starców, które mają podpisane umowy z MOPS-ami i domy opieki samych MOPS-ów polują na samotnych dziadków – bo emerytura i opłaty wnoszone przez samorząd. Zatem jeżeli chcecie wiedzieć, czemu w Polsce zabiera się niemowlaki, to idźcie śladem pieniędzy, urzędników, tj. opiekunów społecznych, a także zblatowanych z nimi samorządowców, psychologów, radców prawnych i sędziów. Dlatego – jak napisałam na początku – najmniejsza wina w przypadku akurat Oskara to wina psów. Choć dobrze by było się zorientować, co o tym wszystkim sądzi dzielnicowy danego rewiru warszawskiej Pragi i jaka chodzi o nim opinia pośród ziomów na ośce. Rozumie człowieka i kilometrówkę wyłaził w rewirze czy gnije w papierach na komendzie, sącząc kawę z thermobechera.

IZABELA SZOLC

bitowanie

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ci na Kremlu przez samego genseka KPZR Leonida Breżniewa. Hermaszewski otrzymał Order Lenina, Medal Złotej Gwiazdy i tytuł bohatera Związku Radzieckiego.

W kraju zgotowano mu uroczyste przyjęcie w sejmie. Awansowano go na podpułkownika. Potem rozpoczął objazd po Polsce. Na propagandową orbitę wszedł znów z Piotrem Klimukiem, który okazał się człowiekiem sympatycznym, dobrze wypadającym w mediach. Lubił biesiadować i pić jak prawdziwy Polak.

Ale wszystko, co piękne, kiedyś się kończy. Klimuk wrócił do ojczyzny pierwszych kosmonautów, a Hermaszewski objeżdżał Polskę już solo.

Jesienią 1978 r. przyjechałem do Suwałk, aby kupić prowiant do studenckiej bazy w Puszczy Rominckiej. W jedynym czynnym sklepie mięsnym zastałem puste półki, gołe haki i kolorowe plakaty z pierwszym polskim kosmonautą. Całą swą złość przelałem wtedy na Hermaszewskiego. Ten rychło przestał być „dumą dni”, bo pojawił się inny sławny Polak. Polak-papież. Wybrany równie niespodziewanie jak Polak-kosmonauta. Wtedy nie wiedzieliśmy, że potem JP2 zostanie świętym i na stałe będzie w niebiosach orbitować.

Potem Hermaszewski został zapisany w 1981 r. do Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, aby ocieplić medialnie wizerunek wojskowej junty. Dostał awans na pułkownika, by zanadto nie odstawać w jej generalskim gronie. Potem Polak-kosmonauta poszedł na studia w Moskwie, dostał komendanturę w dęblińskiej Wyższej Szkole Lotniczej. W końcu został zastępcą dowódcy Wojsk Lotniczych i Obrony Powietrznej. Na odchodne otrzymał stopień generalski.

Na emeryturze próbował kariery w polityce. W 2001 i 2005 r. kandydował do sejmu z listy lewicy, ale mandatu nie zdobył. Wtedy jeszcze za bardzo kojarzył się z obłudną gierkowską propagandą sukcesu. Na pocieszenie został wybrany w 2002 r. radnym sejmiku mazowieckiego.

W 2018 r. stanął u bram piekieł. Rząd Morawieckiego wysmażył ustawę o powszechnej degradacji wrażych wojskowych, wśród nich wszystkich członków WRON. Parlament ustawę przegłosował, ale zawetował ją prezydent Andrzej Duda. Uzasadniając weto, powołał się na żywot Mirosława Hermaszewskiego. Wielce już popularnego wśród młodszej generacji Polaków jedynego polskiego kosmonauty. A wśród starszej generacji – popularnego jako brata kresowiaka, cudem ocalonego świadka rzezi UPA na Wołyniu w 1943 r. No i teścia znanego posła PiS Ryszarda Henry’ego Czarneckiego.

Bo Rycho Czarnecki, jak każdy przykładny PiS-owski katolik, rozwiódł się z pierwszą żoną i za drugą wziął córkę byłego komucha i członka WRON-y. Tego nawet scenarzyści brazylijskiego serialu by nie wymyślili.

Pierwszy Polak-kosmonauta zmarł w 2022 r. Pochowano go po uroczystej mszy świętej w katedrze polowej Wojska Polskiego, którą celebrował biskup Wiesław Lechowicz. Nad nekropolią w hołdzie zmarłemu przeleciały cztery myśliwce F-16. Od nowego Wielkiego Brata.

Po nim już przetartym traktem inni będą iść

Jeszcze przed wyborami parlamentarnymi w 2023 r. rząd Zjednoczonej Prawicy potajemnie sypnął kasą do budżetu Europejskiej Agencji Kosmicznej. Zwiększył dobrowolnie składkę do 360 mln euro. To dało Polsce prawo jednorazowego pobytu polskiego naukowca na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. O kolejnym przyszłym polskim kosmonaucie zdążył poinformować minister rozwoju Waldemar Buda. Ale zaraz potem Zjednoczona Prawica władzę straciła.

I tak narodowokatolicka pisowska władza za pieniądze polskich podatników zrobiła wspaniały wizerunkowy prezent wrażemu Tuskowi.

Prezent jest dodatkowo dla PiS-u bolesny. Europejska Agencja Kosmiczna spośród licznych kandydatów wybrała niezwykle utalentowanego, elokwentnego, władającego obcymi językami, przystojnego naukowca Uznańskiego. Noszącego miłe dla polskich patriotów słowiańskie imię Sławosz. Ten jednak zakochał się ze wzajemnością w Aleksandrze Wiśniewskiej. Pannie również utalentowanej, elokwentnej, władającej obcymi językami i jeszcze niezwykle przecudnej urody.

I można byłoby rzec, że oto idzie pierwsza polska kosmiczna para. Czyli Sławosz i Aleksandra, gdyby nie kilka faktów dodatkowych.

Pani Aleksandra deklaruje, że jest Polką i Tajką jednocześnie. Bo jej matka urodziła się w Bangkoku. Miała ojca Chińczyka i matkę Tajkę. Pan Sławosz ma ojca Polaka, ale matkę pochodzenia francuskiego. Lepszego w oczach pisowskich patriotów niż pochodzenie niemieckie, ale mogłaby być przynajmniej Węgierką. Skoro czystą Polką nie jest.

Dodatkowo pani Aleksandra została w 2023 r. wybrana posłanką PO. Wcześniej pracowała w Polskiej Akcji Humanitarnej, wspierając też Ukraińców. Po zawarciu małżeństwa pan Sławosz zachował swe lejące miód na narodowo-patriotyczne serca czysto polskie imię. Jednak przyjął nazwisko małżonki, podobnie jak ona jego. A to już jest przejaw niepolskiej nietradycyjności. Równości płci.

Jeśli pan Sławosz szczęśliwie powróci, czego mu wielce życzę, to czeka go sława Polaka-kosmonauty. Drugiego co prawda, ale jedynego żywego. Skazanego już na propagandowe wieczne orbitowanie.

PIOTR GADZINOWSKI

PS Śródtytuły pochodzą z patriotycznej pieśni „Polski lotnik-kosmonauta” upowszechnianej przez artystkę Barbarę Książkiewicz.

eprasa.pl 86a6214840

Kosztowna rewolucja czy nie mniej kosztowne status quo?

Kto się boi Zielonego Luda?

Rys. WIDGET

Jeśli ktoś zastanawiał się, dlaczego wieś i mieszkający w domach jednorodzinnych mieszkańcy Polski B zagłosowali na Nawrockiego, to proszę...

Wyobraźmy sobie Europę, która pachnie lawendą, szumi liśćmi zielonych dachów i śpiewa pieśnią fotowoltaiki. Miasta bez smogu, dzieci biegające boso po trawie, gdzie niebo nigdy nie jest zanieczyszczone, a ptaki latają nie po to, by uciekać przed cywilizacją, tylko by się jej przyglądać z zainteresowaniem. Taki świat obiecuje Europejski Zielony Ład – kompleksowy plan Komisji Europejskiej, który ma doprowadzić do neutralności klimatycznej kontynentu do 2050 r.

Wszystko ma być czyste, nowoczesne, bezemisyjne i cyfrowe. Zero śladu węglowego, 100 proc. świadomości ekologicznej. Po drogach będą jeździć elektryczne autobusy, budynki będą nie tylko zeroenergetyczne, ale i pozytywne energetycznie – produkujące więcej prądu, niż zużywają. A prąd, oczywiście, będzie pochodził ze źródeł odnawialnych.

UE obiecuje także ogromne pieniądze – miliardy euro z funduszy modernizacyjnych i społeczno-klimatycznych mają popłynąć do państw członkowskich, w tym do Polski. Fundusz Sprawiedliwej Transformacji, Zielony Fundusz Inwestycyjny, ETS 2 – wszystko to ma łagodzić przejście od starego świata do nowego. Tyle że to zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

Bioróżnorodny ugór

Największą awersję wobec Zielonego Ładu wykazuje polska wieś. I trudno się dziwić – jeśli rolnik słyszy, że będzie musiał zrezygnować z 50 proc. środków ochrony roślin, 20 proc. nawozów i dodatkowo co czwarty hektar przekazać naturze na ugór, to trudno, by nie wziął tego do siebie. Zielony Ład zakłada bowiem, że 25 proc. gruntów rolnych w UE ma być przeznaczonych na rolnictwo ekologiczne, a część pól – obowiązkowo – zostawiona odłogiem. Oficjalnie: dla odbudowy bioróżnorodności. Dla wielu rolników to w praktyce widmo utraty dochodów.

Obecny rząd od początku sprzeciwiał się tym przepisom, a minister rolnictwa Czesław Siekierski nazywał je „abstrakcyjnym idealizmem brukselskich urzędników". Polska jako jeden z pierwszych krajów zawnioskowała o wyłączenie z obowiązku ugorowania gruntów dla gospodarstw do 10 ha. I uzyskała ją, bo – jak argumentowano – małe gospodarstwa nie mają skali, by móc sobie pozwolić na luksus nieprodukowania.

Ale to nie koniec biurokratycznego horroru. Od 2030 r. każde gospodarstwo ma być objęte obowiązkiem raportowania: emisji metanu, śladu węglowego, stosowanych nawozów, ilości wody użytej do podlewania oraz środków chemicznych. Rolnicy będą musieli dokumentować każdą operację rolną i przesyłać raporty cyfrowe. Starsi gospodarze z Podkarpacia już teraz łapią się za głowę: „Zamiast orać pole, będę ślęczał nad klawiaturą!".

W mediach prawicowych temat Zielonego Ładu w rolnictwie stał się ulubionym straszakiem. Niczym kiedyś dzieci Czarnym Ludem, dziś straszy się rolników nowym Zielonym Ludem.

Pokazywano takich, którzy muszą kupować smartfony, żeby raportować ilość oprysków. Pisano: „Bruksela każe wam ugorować, a potem zabierze krowę!". Twierdzono, że Zielony Ład to „plan sterylizacji polskiej wsi" i „początek nowej unijnej kołchozyzacji".

Agrounia w 2023 r. wyszła na drogi z hasłami: „Ziemia to nie zabawka Brukseli", „Stop Zielonemu Ładowi" i „Ręce precz od naszych plonów". Michał Kołodziejczak, do niedawna wiceminister rolnictwa, mówił wówczas: „To są przepisy pisane dla Holendrów, a nie dla Polaków. U nas gospodarstwo ma 10 ha, nie 100, i nie stać nas na ekologiczne eksperymenty".

Problemem jest też brak wsparcia finansowego adekwatnego do wymagań. Unijne dopłaty do rolnictwa ekologicznego nie rekompensują wyższych kosztów. Nawóz organiczny jest o 40 proc. droższy niż syntetyczny, a zbiory są mniejsze. Co więcej, rynek produktów eko w Polsce dopiero raczkuje. Rolnik z Lubelszczyzny mówił w radiu: „Uprawiam orkisz, ale kto go kupi? Ludzie wolą tani chleb z Biedronki".

Fotowoltaiczny styropian

Transformacja budownictwa to jeden z najambitniejszych – i najdroższych – elementów Zielonego Ładu. Od 2027 r. wszystkie nowe budynki publiczne muszą być zeroemisyjne. Od 2030 – również wszystkie prywatne. Oznacza to, że każdy nowy dom będzie musiał mieć panele fotowoltaiczne, pompę ciepła, rekuperację, szczelną izolację i być wykonany z materiałów o minimalnym śladzie węglowym. W teorii – pięknie. W praktyce – dramat.

Polacy budują domy metodą gospodarczą. Ocieplają styropianem z marketu, montują okna z przeceny, dogrzewają się kozą. Według danych GUS 56 proc. budynków w Polsce to budownictwo sprzed 1980 r. Tylko 19 proc. ma odpowiednią izolację termiczną. Termomodernizacja przeciętnego domu kosztuje 100–150 tys. zł. A zeroemisyjny nowy dom? Jest droższy o 700–800 tys. zł – dla czteroosobowej rodziny z przeciętnym dochodem to absolutna abstrakcja.

ETS2, czyli nowy system opłat za emisje z budynków, tylko pogłębia problem. Już od 2027 r. Polacy będą płacić za to, że ich domy emitują CO_2. Według prognoz rachunki za ogrzewanie mogą wzrosnąć o 30–60 proc. – w zależności od źródła ciepła. Najbardziej ucierpią mieszkańcy małych miejscowości ogrzewający się węglem i drewnem. Rząd ostrzega, że nowe regulacje uderzą w najbiedniejszych.

Dodajmy jeszcze jeden szczegół – obowiązek raportowania emisji budynków. Od 2026 r. każdy budynek będzie musiał mieć certyfikat energetyczny aktualizowany co 10 lat. Mało tego, deweloperzy będą musieli raportować emisję na etapie projektu, budowy i użytkowania. To wszystko to dla ludzi dodatkowe koszty.

Pojawiły się nawet obawy o ograniczenia w najmie – mówi się, że budynki o niskiej klasie energetycznej nie będą mogły być wynajmowane.

Furmanką do szpitala

Zielony Ład przewiduje radykalną dekarbonizację transportu, co dla Polski oznacza rewolucję – bolesną i kosztowną. Od 2035 r. w całej Unii nie będzie można sprzedawać nowych samochodów spalinowych. Oczywiście „dla klimatu".

ETS2 ma objąć również transport drogowy, co oznacza, że paliwa na stacjach zdrożeją. Według analiz – od 80 groszy do 1,2 zł na litrze. Dla mieszkańców wsi i mniejszych miast, gdzie samochód jest nie luksusem, a koniecznością, oznacza to jedno: nowy podatek za życie.

Ministrowie wielokrotnie zgłaszali sprzeciw wobec harmonogramu i skali zmian. Samorządy ostrzegały, że nie mają pieniędzy na budowę infrastruktury ładowania pojazdów elektrycznych, a przewoźnicy autobusowi z powiatów liczyli, ile lat zajmie im wymiana floty.

Zielony Ład to też nowe obowiązki raportowe – każda firma transportowa będzie musiała liczyć ślad węglowy każdej paczki, przesyłki i kilometra. Duzi sobie poradzą, mali zginą – ostrzega Związek Przewoźników Drogowych. Eksperci dodają: dla wielu osób z prowincji transport publiczny jest fikcją. A rower? W styczniu, przy minus pięciu, z dzieckiem do lekarza?

Publicyści prawicowi nie mają wątpliwości – chodzi o zniechęcenie do samochodu jako symbolu wolności. Wielu obiektywnych ekspertów przestrzega jednak, że bez zielonej reformy transportu Polska ugrzęźnie w korkach, w smogu, w zależności od ropy.

Mimo wszystkich zastrzeżeń Zielony Ład to projekt, który może przynieść korzyści – ale nie wtedy, gdy jest źle tłumaczony i wykorzystywany jako straszak polityczny. PiS skutecznie mobilizował elektorat, pokazując Zielony Ład jako zagrożenie dla rolników, kierowców i właścicieli domów.

„Bruksela chce wam zabrać piece, auta i krowy" – to narracja, która się przyjęła. Ale jeśli Polska nie zmodernizuje gospodarki, i tak zapłacimy więcej – za energię, za emisje, za smog. Zielony Ład to nie fanaberia, lecz próba odpowiedzi na kryzysy, które nadciągają. Tyle że zamiast rozmowy – mamy krzyk. Zamiast chłodnej debaty – gorączkę wyborczą. Zamiast strategii – strach. Zamiast planu – propagandę.

Zielony Ład nie musi być klęską. Ale jeśli dalej będziemy traktować go jak potwora z Brukseli, to pewnego dnia obudzimy się w kraju, który przespał szansę. Po raz kolejny.

Bo to właśnie obecny system ze swoim uzależnieniem od węgla, drogą energią i brakiem inwestycji w infrastrukturę powoduje niekończący się wzrost kosztów życia. Zielony Ład może być trudny, ale status quo to powolna agonia. A chyba nikt nie chce mieszkać w ruinach dawnego świata, nawet jeśli te ruiny są opalane naszym polskim, najdroższym węglem.

TADEUSZ JASIŃSKI

Gwałt na zmarłym

Czas umierać po ludzku

Rys. JANUARY

Kilka lat temu byłam na pogrzebie bliskiej mi osoby. Takie pożegnanie jest oczywiście traumatyczne, szczególnie gdy dotyczy najbliższych osób. Tamten pogrzeb straumatyzował mnie szczególnie. Wiedziałam, że zmarła osoba pochodzi z katolickiej rodziny, ale wiedziałam również dobrze, że była ateistką, a Kościół katolicki, delikatnie mówiąc, nie budził Jej szacunku. Tymczasem

pogrzeb odbywał się w kościele w pełnym obowiązującym w tej instytucji rytuale. Rodzina dokonała gwałtu – pomyślałam – dokonała przemocy na już bezbronnym człowieku.

Mimo to próbowałam opanować złość, skupić się na swoich myślach i uczuciach związanych z pożegnaniem osoby zmarłej. Jednak i to okazało się niełatwe. W trakcie mowy pożegnalnej ksiądz pomylił imię zmarłej. Kiedy ktoś z rodziny głośno zwrócił księdzu uwagę, klecha zamiast poprawić imię i przeprosić obecnych, zmroził go wzrokiem i po długiej pauzie, wyraźnie obrażony, kontynuował swoją mowę, od tego momentu już z widocznym pośpiechem zmierzając do końca.

A przecież podstawowym obowiązkiem klechy było skupić się na osobie zmarłej i jej bliskich, aby uniknąć żenującej sytuacji. Ale katolickie pogrzeby to istna fabryka. W mojej okolicy księża często w trakcie mszy pogrzebowej praktykują cytowanie fragmentu Pisma Świętego z passusem o złodzieju, który zakradł się do domu. Zacytował go ksiądz, który nie zainteresował się dostatecznie postacią zmarłego. Nie miał bowiem pojęcia, że jego celebracja dotyczyła drobnego złodziejaszka, a w kościele żegnało go całe grono kolegów. Chłopaki w przybytku Pana posikały się ze śmiechu.

Czasy takie, że czas umierać. No tak, ale co potem? Nie żebym myślała, że potem zdarzy się coś, co mnie dotyczy, ale nie chciałabym przecież stresować moich bliskich. Powinno być całkiem inaczej.

Rozumiem i akceptuję swoją śmierć, bo jak nie akceptować nieuchronnego? Może powinnam mieć w dupie wydarzenia, które nastąpią po mojej śmierci? Ale przecież mój pogrzeb to wydarzenie już nie dla mnie, a dla tych, którzy zechcą mnie pożegnać. Póki żyję, chciałabym być świadoma, że nie skazuję ludzi, którzy przyjdą mnie pożegnać, na traumę. Pogrzeby, jakich ostatnio byłam świadkinią, a było ich kilka, przypominały mi, że coś powinnam zrobić, aby nie narażać żałobników, uczestników mojego pogrzebu, na stres. Trzeba pamiętać, że umiera ciało, ale nie ich emocje, miłość, uczucia.

Ale zdarzyło się coś wyjątkowego. Miałam okazję obserwować dziejącą się bajkę.

Bajki bywają pożyteczne. Myślę, że ta bajka jest właśnie tego rodzaju. Dlatego teraz podzielę się nią z Wami.

Było jak w bajce, ale nie działo się to za siedmioma górami ani nie za siedmioma rzekami, ale tutaj. Mojej przyjaciółce Kamili umarła mama. Przypadł jej obowiązek zorganizowania pogrzebu. Podobnie jak ja nie miała najlepszych doświadczeń z tradycyjnymi w Polsce pogrzebami, a jej mama była ateistką i nie życzyła sobie katolickiej ceremonii. Ale ktoś polecił jej pogrzeb humanistyczny. Zaufała tej propozycji i skontaktowała się z celebrantkami. Pojawiły się dwie sympatyczne kobiety, Natalia i Dorota, określające się jako Kolektyw Niezapominajki, z którymi Kamila umówiła się na przeprowadzenie całej ceremonii. Zaczęły od pełnej wrażliwości sympatycznej rozmowy i zaproponowały rozmowy z resztą rodziny po to, by zaprojektować wydarzenia związane z pogrzebem, ich treść i formę. Chodziło o to, żeby oprzeć koncepcję celebracji na życiu osoby zmarłej – postawić ją w centrum tego wydarzenia – jako podmiot, a nie przedmiot pochówku. Od rodziny zbierały też informacje, które w największym stopniu pomogłyby oddać intencje zmarłej co do jej ostatniego pożegnania. Rozumiałam to tak, że przecież przed śmiercią mogła ona wyrażać swoje życzenia co do własnego pogrzebu. Celebrantki twierdziły, że ich intencją jest w możliwie jak największym stopniu spełnić życzenia, a nawet (o ile to możliwe) marzenia zmarłej co do jej wizji ceremonii pożegnania. Pomyślałam wtedy, że ja zostawię list, w którym poproszę osobę zajmującą się moim pogrzebem, by spełniła moje życzenia.

Przyznam też, że spróbowałam na boku załatwić swoje interesy. W rozmowie z Kolektywem Niezapominajki wyjaśniłam, że jestem osobą transpłciową, i upewniłam się, że nie stanowi to jakiejkolwiek

eprasa.pl 86a6214840

przeszkody w godnym pochówku uwzględniającym moją sytuację i moje życzenia – na tym polega humanistyczne postępowanie pogrzebowe. Pogrzeb humanistyczny, jak każdy (jak to one mówiły) rytuał przejścia jest ceremonią, w której podmiotem i główną postacią są osoby, których ten rytuał dotyczy. I nie ma znaczenia, czy będzie to pogrzeb, zawarcie związku osób (małżeństwo), nadanie imienia czy jakakolwiek inna humanistyczna uroczystość.

Zmarła mama Kamili była miłośniczką natury i ekolożką. Panie z Kolektywu Niezapominajki przygotowały odpowiedni dla tej sytuacji roślinny wystrój domu pogrzebowego i wygłosiły mowę pogrzebową opartą na prawdziwych wydarzeniach z życia zmarłej i relacjach z najbliższymi. Nie zabrakło w niej życzliwego humoru i wzruszeń. Ceremonii towarzyszyła muzyka, ale nie był to „Anielski orszak” ani marsz pogrzebowy, tylko muzyka, którą lubiła zmarła i którą zostawiła najbliższym, jako kotwicę dla ich wspólnych wspomnień.

Ten pogrzeb stał się dla mnie inspiracją do przemyśleń dotyczących własnego pożegnania ze światem. Ustaliłam, że pogrzeb urnowy można zorganizować wszędzie. Prawo nie zakazuje przewożenia urny z prochami prywatnym autem. Ceremonię z urną można przeprowadzić w dowolnym miejscu. *Sky is the limit.* W zależności od upodobań osoby zmarłej może to być sala w domu pożegnań, ceremonia nad grobem, park, las, teatr, galeria sztuki, prywatny ogród, klub nocny, boisko... Ceremonia może odbywać się także na przykład z gitarą, nocą przy piwku i ognisku. Wychodząc od intencji osoby zmarłej robi się to przecież dla osób żyjących.

ANIA GRODZKA

Przekręt z pukawką

Chrześcijańscy terroryści wszystkich krajów, łączcie się!

Rys. OBYWATEL JANEK

W nocy z 13 na 14 czerwca w Minnesocie w Stanach Zjednoczonych z rąk zamachowca zginęli przedstawicielka demokratów i członkini Izby Reprezentantów Melissa Hortman i jej mąż Mark. Tej samej nocy zabójca postrzelił senatora Partii Demokratycznej stanu Minnesota Johna Hoffmana oraz jego małżonkę Yvette.

W samochodzie 57-letniego sprawcy masakry Vance'a Boeltera znaleziono ulotki z hasłem „No Kings” związanym z protestami przeciwko prezydentowi Donaldowi Trumpowi oraz notatnik z listą 45 nazwisk – głównie polityków demokratów, w tym gubernatora Tima Walza, posłanki Ilhan Omar i senator Tiny Smith oraz innych osób związanych z ruchem na rzecz praw aborcyjnych. Mimo dowodów na polityczne tło ataku odstrzał demokratów wywołał dalekie od współczucia poruszenie wśród związanych z ruchem MAGA polityków republikańskich. Co więcej, amerykańska prawica, chcąc odciąć się od strzelca-konserwatysty, na pniu zaczęła kolportować narrację, że Hortman zginęła, bo w opinii lewackiego napastnika była zbyt centrowa.

Senator z Ohio Bernie Moreno we wpisie na X stwierdził: „Stopień, do którego skrajna lewica stała się radykalna, brutalna i nietolerancyjna, jest zarówno oszałamiający, jak i przerażający”; zawtórował mu senator Mike Lee z Utah, pisząc: „To się dzieje, gdy marksiści nie dostają tego, czego chcą”. Nieco bardziej powściągliwie do sprawy odniósł się Donald Trump, potępiając przemoc i zapewniając o modlitwie za ofiary. Jego były doradca Steve Bannon w swoim podcaście „War Room” z 17 czerwca nazwał Boeltera „osamotnionym wariatem” i stwierdził, że media mainstreamowe wykorzystują tragedię do oczerniania patriotów.

Prawicowa manipulacja jak zwykle rozjechała się z prawdą, o czym zaświadczyło bogate CV napastnika. Boelter był założycielem chrześcijańskiej organizacji non profit Revoformation Ministries, w której działał jako misjonarz-kaznodzieja, jeżdżąc z występami do Demokratycznej Republiki Konga i na Bliski Wschód. W swoich kazaniach krytykował skrobanki, homoseksualność i transpłciowość, określając je jako „moralną zgniliznę”. Próbował też nawracać wyznawców islamu, tłumacząc – o ironio – że przemoc nie jest rozwiązaniem.

Po ataku Boeltera na platformie Elona Muska pojawił się zalew postów sugerujących, jakoby lista celów znaleziona w aucie zabójcy miała być sfabrykowana przez demokratów, aby oczernić MAGA.

Czyżby promująca teorie spiskowe o lewactwie skrajna prawica – która przemoc promuje jako słuszny opór, a sprawców masakr przedstawia jako jednostkowych szaleńców – minimalizowała swoją odpowiedzialność za inspirowanie aktów terroru? Owszem, ale nie tu jest pies pogrzebany.

Odcienie szajby

Stany Zjednoczone są bogate w tradycję przemocy politycznej jak w złoża ropy naftowej. Nietrudno jednak zauważyć, że trend w ostatnich latach się zintensyfikował. W 2020 r. skrajnie prawicowa grupa planowała porwanie Gretchen Whitmer, demokratycznej gubernator Michigan, celem urządzenia jej „procesu” za wprowadzone ograniczenia pandemiczne. Jaskrawymi przejawami napięcia przemocowej sprężyny o podłożu politycznym były szturm zwolenników Donalda Trumpa na Kapitol 6 stycznia 2021 r. czy nieudana próba uprowadzenia spikerki Izby Reprezentantów Nancy Pelosi, w wyniku której młotkiem w czaszkę zarobił jej mąż. Sprawca napadu David DePape, głęboko zanurzony w skrajnie prawicowych teoriach spiskowych, stworzył listę celów, na której obok Pelosi znajdowali się m.in. gubernator Kalifornii Gavin Newsom, aktor Tom Hanks, syn ówczesnego prezydenta Hunter Biden oraz profesor Gayle Rubin, badaczka teorii feministycznej i queer.

Zjawisko eliminowania niepożądanego demokratyczno-lewicowego elementu przy pomocy wszelkiej maści broni na tyle zagnieździło się w świadomości społecznej, że większe poruszenie opinii publicznej niż sam akt wzbudza dyskusja, czy napastnik aby nie był antifiarzem.

Ryba psuje się od głowy. Ubrany w szyty na miarę garnitur prawicowy radykalizm nie tylko świetnie ssie, ale wyznacza nowy nurt w polityce. A moda lubi się roznosić. Pierwsze jaskółki zmian fruwają już i na polskim nieboskłonie i srają radośnie na ludzi.

Może i doniesienia zza oceanu wydają się wręcz filmową abstrakcją, ale rzut oka na polskie klepisko nie pozostawia złudzeń, że ziarno skrajnie konserwatywnego trendu tłuczenia pałą we wszystko, co się rusza, a odstaje od prawicowych wartości, padło na podatny grunt.

Polacy nie gęsi

W połowie czerwca pięciu smarków w biały dzień weszło do galerii-sklepu Las Rąk z rękodziełem w Warszawie i zażądało usunięcia asortymentu z tęczowymi elementami. Jeden z młodych patriotów stwierdził, że tęczowa maryjka obraża jego uczucia religijne. Chłopcy w obronie chrześcijańskich wartości zagrozili spaleniem sklepu, a obsługę poinformowali, że zostanie zajebana. Wśród okrzyków o jebaniu Żydów i pedałów wyjaśnili, że gdy dorosną, to będą głosować na Brauna i Mentzena, żeby ci po dojściu do władzy rozprawili się z takimi miejscami.

Również w czerwcu prokuratura w Olsztynie poinformowała o toczącym się od kilku miesięcy śledztwie w sprawie trzech 19-latków, którzy mieli planować zamach na jedną z olsztyńskich szkół średnich i paradę równości. Jak wynika z ustaleń ABW, chłopcy szkolili się w użyciu broni palnej i materiałów wybuchowych. Byli zafascynowani Andreasem Breivikiem, Brentonem Tarrantem i Timothym McVeighem. Ten ostatni w kwietniu 1995 r. zdetonował ciężarówkę wypełnioną materiałem wybuchowym (nawozem amonowym i paliwem) przed budynkiem federalnym Alfreda P. Murraha w Oklahoma City. W wyniku eksplozji zginęło 168 osób, w tym 19 dzieci, a ponad 680 ludzi zostało rannych. Wszyscy trzej idole olsztyńskich nastolatków przejawiali radykalnie prawicowe sympatie i dokonali aktów masowego terroru z pobudek nacjonalistycznych oraz ideologicznych.

Faszyzm z brokatem

Oczywiście do poziomu lat ołowiu we Włoszech jeszcze nam daleko, ale tempo zmian marszczy dupę. Trudno się dziwić,

z Zachodu przyszedł jeszcze jeden trend – bezrefleksyjnego glamuryzowania faszolskich wyskoków i ocieplania wizerunku prowodyrów. Kordon sanitarny wokół ugrupowań i jednostek, które wpajają ludziom irracjonalne lęki i podlewają pożar agresji benzyną, został zneutralizowany przez centrowych polityków i media.

Wystarczy przypomnieć sobie wysyp artykułów i programów o wciąż bezkarnym Grzesiu Braunie po pierwszej turze ostatnich wyborów prezydenckich. Agora, która jeszcze w kwietniu opisywała agresywny najazd Brauna na klinikę w Oleśnicy i jego hucpę wymierzoną w ginekolog Gizelę Jagielską, na łamach „Wysokich Obcasów” puściła romantyczny tekst „Ona montowała jego filmy o eugenice i Jaruzelskim, a on przyszedł z pierścionkiem. Oto żona Brauna”. TVP Info poszła jeszcze dalej: „Erudyta z gaśnicą. Dlaczego Polacy głosowali na Grzegorza Brauna”. „Jest 12 lat młodsza. Braun poznał żonę w pracy. »Bez pomocy Boga wszystko się rozpadnie«” – donosił serwis Gazeta.pl. Nagle za sprawą wyjątkowo wysokiego wyniku wyborczego okazało się, że przemocowy ksenofob, homofob i oszołom jest w gruncie rzeczy całkiem miły, tylko kapkę kontrowersyjny. A w „Telemagazynie” można było nawet zobaczyć, jak wyglądał za młodu, i odpowiedzieć sobie na pytanie, czy leciały na niego dupy.

Kto wie, może Braun za chwilę, tak jak niegdyś Krzysio Bosak, będzie sadził piruety w „Tańcu z gwiazdami” albo, jak Roman Giertych, zasiądzie kiedyś po prawicy Tuska. Droga na skróty przez żerowanie na najniższych instynktach dla politycznych profitów może być usłana różami. Nawozu, jak widać, nie braknie.

IDALIA DUBICKA

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Przed wrocławskim sądem toczył się zaocznie proces Artema P., marynarza, który nie stawił się na rozprawie, bo „miał pilniejsze sprawy na morzu” (jak na marynarza przystało). Artem został oskarżony o naruszenie nietykalności cielesnej ratowników medycznych, którzy zostali wezwani po tym, jak sąsiedzi wyczuli, że jego poziom alkoholu we krwi mógł przekroczyć granice życia i śmierci. W trakcie interwencji wilk morski szarpał się, krzyczał, pluł. Według relacji ratowników usiłował zjeść włosy sanitariuszki oraz całą karetkę. Sąd skazał marynarza na sześć miesięcy więzienia w zawieszeniu i 15 tys. zł zadośćuczynienia. Wątek konsumpcji karetki pozostał nierozstrzygnięty. Wątpliwości potraktowano na korzyść oskarżonego. Pojazd przeżył.

▮ Na dolnośląskim odcinku autostrady A4 funkcjonariusze dolnośląskiej Krajowej Administracji Skarbowej wspólnie z policją zatrzymali furgon z naczepą, w której znajdowała się apteka, a może i hurtownia farmaceutyczna na kółkach: 22 kg marihuany, 35 l płynnej amfetaminy, 3,5 kg tabletek MDMA, 13 kg metamfetaminy, 0,76 kg kokainy. Policja twierdzi, że była to rutynowa kontrola drogowa. My jednak nie wierzymy ani w takie szczęśliwe przypadki, ani w tak widowiskowe nieszczęścia. Zatrzymano dwóch mężczyzn, obaj w wieku około czterdziestki. Zdążyli powiedzieć tylko, że „wieźli towar”. Nie sprecyzowali, dla kogo i z jakiej planety.

▮ W okolicach rzeki Parsęty pod Kołobrzegiem znaleziono niewielki kamień o długości 12 cm, który do złudzenia przypomina zrośniętą bulwę ziemniaka. Mimo niepozornego wyglądu lokalni archeolodzy są zachwyceni. Aleksander Ostasz, archeolog podwodny i dyrektor Muzeum Oręża Polskiego w Kołobrzegu, ogłosił znalezisko odkryciem stulecia. Według niego kamień nie tylko został ukształtowany ludzką ręką, ale też przedstawia boginię płodności. Dlatego nadano mu nazwę Wenus z Kołobrzegu (jego zdaniem – niekoniecznie naszym). Pan archeolog datuje kamień na 6 tys. lat, choć naszym zdaniem to mocno zaniżone. Realnie może mieć nawet 3 mld lat, bo wtedy Ziemia stygła, a kamienie dopiero zaczynały swoją przygodę. Podobne „boginie” można zresztą znaleźć po każdym głębszym oraniu – wystarczy odrobina wyobraźni.

▮ Sylwia Serafin z Komendy Powiatowej Policji w Lubinie poinformowała, że dwóch kompletnie nagich obywateli Etiopii biegało po ulicach miasta. Dodała również, że nie mieli przy sobie dokumentów, co bez tego doprecyzowania mogłoby nam umknąć. W końcu każdy przeciętny Polak, idąc na plażę naturystów, chowa dowód w tyłku – na wszelki wypadek. Policjanci nie wyjaśnili, dlaczego mężczyźni byli nadzy, bo żadna ze stron nie znała języka tej drugiej: Etiopczycy nie mówili po polsku, a funkcjonariusze – po etiopsku. Nagość zatem pozostaje bez oficjalnej interpretacji. Być może był to protest, performance albo po prostu bagaż kulturowy.

▮ Mielno, nadbałtycki kurort zazwyczaj kojarzony z wypoczynkiem i spokojem, stał się tłem brutalnego ataku. 40-letnie małżeństwo wtargnęło do mieszkania 63-letniego właściciela lokalu Caro Wojciecha Adamczewskiego. Napastnicy zmusili go do podania wódki, po czym zaatakowali. Kobieta była szczególnie agresywna. Groziła ofierze wydłubaniem oka i zerwaniem worka stomijnego, a wszystko to na oczach własnej sześcioletniej córki. Sprawa trafiła na policję. Po przesłuchaniu zarówno napastników, jak i poszkodowanego funkcjonariusze uznali szkodliwość czynu za niewielką, a prawdopodobieństwo skazania na karę więzienia za pomijalne. W efekcie zamiast aresztu zastosowano tzw. środki wolnościowe.

▮ W rybnikowskim MOSiR-ze doszło do pierwszego w tym sezonie „incydentu kałowego”, jak eufemistycznie określa się defekację w miejscu publicznym. Ofiarą padł brodzik dla maluchów. Zdjęcia na portalu rybnik.com.pl nie pozostawiają złudzeń: mamy do czynienia z ewidentnym gównem. Publicystyczne oburzenie i apele o korzystanie z toalet są zatem na portalu rybnik.com.pl jak najbardziej uzasadnione. W końcu cywilizacja nie polega na załatwianiu potrzeb fizjologicznych tam, gdzie bawią się dzieci. Choć przyznaję, że w tym kraju coraz trudniej o optymizm w tej kwestii.

▮ Trzech 19-latków ledwo wyrośniętych z krótkich spodenek planowało podobno wysadzić swoją szkołę w Olsztynie. Aż strach pomyśleć, co by się stało, gdyby im się udało! Za moich czasów każdy uczeń marzył o wysadzeniu szkoły, ale jakoś milicja nie robiła z tego afery. Teraz pan rzecznik służb specjalnych Jacek Dobrzyński z miną tajnego agenta 007 oznajmia, że nie posiada wiedzy szczegółowej, ale „mogły te osoby przygotowywać się do ataków w Polsce”. Precyzja godna chirurga operującego na ślepo. Na szczęście sąd okazał się rozsądniejszy niż prokuratura. Nie zamknął groźnych przestępców w areszcie. Odpowiadają z wolnej stopy.

▮ Rada Miasta Krakowa przegłosowała najbardziej rygorystyczną strefę czystego transportu w Europie – oficjalnie w trosce o środowisko, nieoficjalnie w trosce o to, by biedni zostali za obwodnicą. Nie będę wchodził w techniczne szczegóły. Wystarczy wiedzieć, że do centrum będą mogły wjeżdżać tylko auta, których rury wydechowe pachną fiołkami i emanują mgłą lawendową. Mają pod maską normę emisji spalin wyższą, niż niektóre koncerny mają marże. Za trzy lata do Krakowa nie wjedzie nic, co nie wyjechało wprost z salonu lub nie ma duszy elektrycznej. Można by powiedzieć, że to kolejna uchwała napisana pod dyktando ekoterrorystów, oderwana od rzeczywistości społecznej. Ale prawda jest brutalniejsza: to kolejny krok w budowie systemu, który pod pozorem dobra wspólnego metodycznie wyklucza coraz większą część społeczeństwa. Tym razem – na cztery kółka.

▮ Polacy wsiedli na rowery – donosi Eurostat! Aż 36 proc. z nas pedałuje co najmniej dwa razy w tygodniu. Wyprzedzamy Niemców (34 proc.), Szwedów (30 proc.) i Francuzów (20 proc.), choć Holendrzy wciąż dystansują nas z wynikiem 53 proc. W ubiegłym roku staliśmy się też największym w Europie importerem rowerów z Chin. Do kraju trafiło ich aż 195 964, choć rzec można również „tylko”, skoro wszystkich sprzedano aż 1,21 mln sztuk. Nie brakuje jednak głosów sceptycznych. Krytycy zwracają uwagę, że większość części do polskich rowerów – nawet tych od renomowanego producenta jak Kross – pochodzi z Chin. U nas tylko lakier i naklejka „Made in Poland”.

RJ

PS Informacje pochodzą z prasy regionalnej z całego kraju. Należy podchodzić do nich z ostrożną powagą i powstrzymać się od wyciągania wiążących wniosków cywilno-prawnych.

eprasa.pl 86a6214840

Oszukani komisyjnie

Biskupi nie zawiedli i znowu zawiedli

Ufać polskim biskupom to trochę jak uwierzyć alkoholikowi czy hazardziście, że od jutra się zmieni. Mimo zerowej niemal szansy na powodzenie znajdują się śmiałkowie, którzy dają wiarę zapewnieniom nałogowców i hierarchów Kościoła kat. Miało być pięknie: członkowie episkopatu w ubiegłym roku spotkali się z ofiarami księży i obiecali im komisję z prawdziwego zdarzenia, która starsze i nowe przypadki zbada, a do jej stworzenia wybrali najbardziej wiarygodnego spośród siebie – abepe Wojciecha Polaka. Były łzy, uśmiechy, ściskanie rąk, prośby o wybaczenie. Jak zwykle podniośle, jak zwykle zero konkretów.

Płonne nadzieje

Biskupi są skuteczni, gdy trzeba wydać dyspensę, czyli pozwolenie na jedzenie mięsa w piątek przypadający po święcie. Z racji Bożego Ciała niemal we wszystkich diecezjach pojawił się komunikat, że ich szefowie łaskawie zezwalają na grilla z karkówką i kiełbasą, a nie wege, i Pan Bóg się nie obrazi. To nic nie kosztuje i prawie nikogo nie obchodzi. Kiedy zaś przyjdzie do spraw poważniejszych, jak rozliczenie księżowskiej pedofilii, ekscelencje nagle tracą sprawczość, kluczą i zwodzą zainteresowanych.

Przedstawiciele osób skrzywdzonych przez kler uważali, że idzie ku dobremu i orka na kościelnym ugorze przyniesie w końcu jakieś konkretne owoce. Deklaracja o powołaniu komisji była jednym z kamieni milowych i wydawało się, że pod fioletowymi piuskami tli się jeszcze resztka rozumu, a może i odrobina przyzwoitości. Ale gdzie tam! Sielanka nie trwała długo.

Biskupi zorientowali się, że abepe Polak wsadza ich na minę, bo trzeba będzie płacić. W dodatku komisja miała też badać przypadki historyczne, a więc parę pomników mogłoby upaść, w tym pomniki samego Wojtyły.

Są w polskim Kościele kat. granice nieprzekraczalne, a jedną z nich jest szarganie imienia JP2. Kolejną granicą jest płacenie za występki duchownych. Obie te racje spotkały się przy powoływaniu komisji ds. pedofilii.

Prymas na kredyt

Prymas Polak dostał kredyt zaufania od ofiar i przygotował niegłupi projekt komisji, który mógłby pomóc biskupom odzyskać twarz, ale stracić pieniądze. Twarz jest im najwyraźniej niepotrzebna, ważniejsza jest kasa. W połowie czerwca podczas zebrania episkopatu „biskupi zapoznali się z aktualnym stanem prac nad powołaniem komisji niezależnych ekspertów do zbadania zjawiska wykorzystania seksualnego osób małoletnich. Przedstawione zostały kolejne uwagi dotyczące dalszego procedowania nad jej statutem i zasadami funkcjonowania” – jak głosi oficjalny komunikat. Zespół abepe Polaka de facto przestał istnieć, a w jego miejsce utworzono nowe gremium pod wodzą bepe Sławomira Odera z Gliwic. Wprawdzie biskupi twierdzą, że jest to tylko kosmetyczna zmiana i wszystko zostaje po staremu, ale ci, których sprawa dotyczy, mają odmienne zdanie. Ofiary księży uważają, że napluto im w twarz, a oni nie mogą po raz kolejny udawać, że deszcz pada. Albo że to woda święcona.

Bepe Oder to symboliczna postać polskiego Kościoła kat. Zanim trafił do Gliwic, wiele lat spędził w Rzymie. Ukoronowaniem jego kariery w centrali było prowadzenie procesów beatyfikacyjnego i kanonizacyjnego Jana Pawła II. Wojtyła został zrobiony świętym ekspresowo, na wszczęcie procesu nie czekano nawet wymaganych przez kościelne prawo pięciu lat od śmierci papieża z Polski, na co zezwolił jego następca Benedykt XVI. Sławomir Oder był odpowiedzialny za udowodnienie, że JP2 był święty, co – widać to zwłaszcza z perspektywy czasu – nie było takie oczywiste. Zbiorowa histeria po jego śmierci i wołanie „santo subito!” nie pozwoliły na rzetelne zbadanie dorobku Lolka z Wadowic, a brudy wypływają do dziś. Oder dbał, żeby nie wypłynęły zbyt wcześnie, i dopiął swego. Przecież go nie odświęcą. Zatem doświadczenie w gmatwaniu rzeczywistości ma odpowiednie, by stać na czele komisji badającej nadużycia kleru.

Silni wobec słabych

Oszukani przez biskupów zareagowali wkurwieniem, wpisami w mediach społecznościowych, listami czy wreszcie protestami przed kuriami. Choć personel Kościoła kat. szczyci się szacunkiem do symboli i metafor, to nie takich, które są wymierzone przeciwko niemu. Skrzywdzeni przez księży zainicjowali ogólnopolską akcję „Kamienie wołać będą”, w ramach której gromadzą się pod pałacami biskupimi, żeby dać ekscelencjom do zrozumienia, że zjebali. Wypisują na kamieniach cytaty z Biblii, naiwnie licząc, że „pasterzy” to wzruszy. Na chodniku przed krakowską kurią ktoś ze zdenerwowanych decyzją biskupów wypisał kredą cytat z Ewangelii: „Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnie uczyniliście”. „Pod krakowską kurią pojawił się cytat z Ewangelii. Ruszył kurialne sumienia tak szybko, że pracownicy tej zacnej instytucji Ewangelię po pięciu minutach potraktowali mopem” – relacjonował red. Dawid Gospodarek z KAI. Biskupi na tego typu akcje reagują podejściem „pokrzyczą, pokrzyczą i przestaną”, którą miał sformułować jeden z ważniejszych polskich hierarchów w odpowiedzi na akcję z zawieszaniem dziecięcych bucików na drzwiach katedr i kościołów. Przeczekanie to typowa strategia kleru, niejeden kryzys udało im się w ten sposób zażegnać.

Aby zadać kłam kleszym opowieściom o tym, jak to są biedni i nie stać ich, żeby płacić ofiarom, Wirtualna Polska opublikowała raport nt. majątku kościelnego. Podobnie jak w przypadku mieszkań Karola Nawrockiego red. Paweł Kapusta wertował z benedyktyńską cierpliwością księgi wieczyste w poszukiwaniu nieruchomości należących do podmiotów kościelnych. Na bok odłożył obiekty sakralne, które służą nabożeństwom, skupił się zaś na nieruchomościach mogących być wykorzystane komercyjnie jak kamienice, hotele, mieszkania, działki itp. Podliczone zostały tylko obiekty, które są w posiadaniu diecezji i archidiecezji, spis nie obejmuje zakonów i parafii, które też mają niemało. Przy tak zawężonym śledztwie majątek biskupów WP wyliczyła na 494 463 764 zł, czyli niemal pół miliarda złotych. Spokojnie wystarczyłoby na zaspokojenie części roszczeń. Ale nie wystarczy, bo nie oddadzą ani guzika od sutanny.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

MATT KOBOSKO

Rydzyk trzydziestolecia

Ojciec Tadeusz zbiera laury

Założyciel i dyrektor Radia Maryja od lat jest doceniany finansowo zarówno przez swoich słuchaczy, jak i sprzyjające mu ekipy rządzące. Dotychczas jednak pomijany był w rankingach najlepszych dziennikarzy, a to przecież jedna z jego podstawowych aktywności, zaraz po biznesie. Ten kardynalny błąd postanowiło naprawić Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich (SDP). Laur SPD 2025 został przyznany redemptoryście z Torunia, którego kapituła nagrody uznała za wzór dziennikarstwa i symbol odwagi. Pulitzer to może nie jest, ale zawsze coś. Zakonnika wyróżniono za „inspirujące i twórcze wykorzystanie mediów w służbie Bogu i Ojczyźnie”. Jak się media toruńskie przysłużyły Polsce, opowiadać nie trzeba.

Wzajemna adoracja

Towarzystwo Rydzyk miał doborowe. Laureatką Nagrody Głównej Wolności Słowa została Danuta Holecka – obecnie Telewizja Republika, a wcześniej TVP Kurskiego. Nagrodzono ją za tak wiekopomne materiały jak wywiady z matką księdza „Salcesona” oraz z Kamińskim i Wójcikiem. Panią Danusię znamy z jej niezwykle mocnych rozmów z Jarosławem Kaczyńskim czy Andrzejem Dudą. Tego ostatniego dociskała na antenie kurwizji pytaniem: „Co zrobić, aby to pan wygrał wybory?”. Do prezesa zaś robiła maślane oczy, dzięki czemu jest jedną z niewielu dziennikarek, do których Kaczor bez oporów chadza na wywiady. Może to i biedadziennikarstwo, natomiast sama Holecka biedy nie klepie, bo zarobiła kilka milionów na pracy w TVP. W Republice też ma status gwiazdy, choć podczas odbierania nagrody od SDP skromnie temu zaprzeczała i zapewniała, że chce być normalnym człowiekiem, cokolwiek to dla pracowników tej stacji znaczy.

Po laureatach widać, jakie środowisko tworzy SPD. Związani z PiS pracownicy mediów mają swoje kółko wzajemnej adoracji – nikt im nie zabroni. Mogliby to jednak robić za swoje, ale to nie leży w ich naturze. W czasach rządów ekipy Kaczyńskiego stowarzyszenie spisiało do reszty i rosło, obficie podlewane dotacjami z budżetu. Seweryn Blumsztajn z konkurencyjnego Towarzystwa Dziennikarskiego powiedział portalowi Press.pl: – SDP w czasach rządów Zjednoczonej Prawicy dostawało potężne wsparcie finansowe od państwa, które w dużej mierze zostało wydane na wsparcie należącego do Krzysztofa Skowrońskiego Radia Wnet i innych członków zarządu SDP, a nie na cele statutowe. Te fakty zostały ujawnione relatywnie niedawno. Kilka oburzonych nimi osób, które zrezygnowały z członkostwa w SDP, przyjęliśmy do Towarzystwa Dziennikarskiego.

Rys. TOMASZ WIATER

Hieny i szakale

Rydzyk już w ubiegłym roku był wymieniany wśród nagrodzonych, ale w innym kontekście. SDP przyznaje bowiem także tytuł Hieny Roku za najbardziej – zdaniem kapituły – nieobiektywny, tendencyjny i krzywdzący materiał. Za 2024 r. nagrodzeni zostali Dorota Wysocka-Schnepf i Grzegorz Nawrocki z TVP Info. W swoim programie zadali oni pytanie: „Czy PiS odpowie za finansowanie Rydzyka publicznymi pieniędzmi?”. – Autorzy zlekceważyli obowiązek szacunku dla prawdy i prawo opinii publicznej, odbiorców telewizji, do poznania prawdy. Autorzy nie zachowali zasady rzetelności w zbieraniu i publikowaniu informacji oraz prawa do bezstronnego komentarza. Program zbudowali na rzekomych faktach, które w rzeczywistości nie miały miejsca. Nie podali też żadnych źródeł swoich informacji – uzasadniał wiceprezes SDP Mariusz Pilis. Trzeba przyznać, że członkowie SDP mają tupet, szafując tytułem „hieny”. Wśród członków i zarządu stowarzyszenia królują wszak ludzie związani obecnie z Republiką oraz innymi pisowskimi mediami. Nigdy nie słynęli oni jednakże ze zdolności do samokrytycyzmu.

Dyrektor Radia Maryja w dziękczynnej przemowie opowiadał, skąd ten pomysł na życie. – Dlaczego media? Całe życie marzyłem o centrum do ewangelizacji. Patrząc, jaka jest kondycja duchowa katolików, myślałem o takim centrum, żeby pogłębiać religijność – tłumaczył. A więc żadne tam motywacje finansowe, o co go podejrzewa większość Polaków, ani aspiracje polityczne. Zgromadzony na imprezie lepszy sort Polaków i dziennikarzy przyjął te tłumaczenia ze zrozumieniem, podobnie jak opowieści Holeckiej. Tylko takie hieny jak my są małej wiary i opisują mniej oczywiste wątki działalności Rydzyka.

Szacher-moher

Medialny magnat z Torunia już ponad trzy dekady rozpycha się w polskiej rzeczywistości i nic nie wskazuje na to, by miał odejść na emeryturę. Kolejne wybory dają mu następne życia i choć nie jest już takim macherem jak dawniej, nadal pojawia się jako szara eminencja polskiej polityki.

Po ostatnich wyborach prezydenckich o Rydzyku przypomniał sobie Roman Giertych, a jego zwolennicy kolportują teorię, jakoby środowisko skupione wokół Radia Maryja maczało palce w niejasnościach wokół elekcji.

Byłoby to dość zaskakujące, bo moherowa armia z roku na rok topnieje, a słuchalność i oglądalność Radia Maryja i Telewizji Trwam spada w okolice błędu statystycznego. Tak czy owak, mnich z Torunia znowu stał się obiektem zainteresowania i przypisuje mu się niebagatelną dla losów Polski rolę. Ten demoniczny rys swojego dawnego sprzymierzeńca podkreśla zwłaszcza Roman Giertych, który rad by wysłać zakonnika na śmietnik historii i teraźniejszości – z wzajemnością zresztą.

Nic nowego pod słońcem. Nie pierwszy to raz, gdy słuchacze Radia Maryja są podejrzewani o ingerencję w proces wyborczy. Już 30 lat temu w starciu Kwaśniewski–Wałęsa moherowe berety miały istotny wkład w podważanie wyniku. Protestów wyborczych wysmarowano wówczas aż 600 tys., wszystkie na to samo kopyto, którego ślad prowadził do Torunia. Niezgadzający się z wygraną Kwacha zarzucali mu, że oszukał on obywateli, kłamiąc o swoim wyższym wykształceniu, co miało być podstawą do unieważnienia jego wyboru. Ostatecznie przetrwał dwie kadencje bez magisterium. Były to czasy, gdy Rydzyk popierał Wałęsę, byleby nie wygrał czerwony. Ci sami panowie dziś odsądzają się od czci i wiary, podobnie zresztą z Giertychem, mimo niegdysiejszej zażyłości. Od dawna słyszymy i zapewne nieprędko przestaniemy słyszeć o tych panach. Niestety, albo i stety – niech każdy odpowie sobie sam.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

eprasa.pl 86a6214840

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich, przyznając Ojcu Dyrektorowi swój LAUR, chce docenić i uhonorować przede wszystkim jednego z najbardziej zasłużonych dla wolności słowa w naszej Ojczyźnie ludzi mediów.* ***To Ojciec nas uczył, jak robi się media bez pieniędzy i co to znaczy więź z odbiorcą; (…). Z perspektywy czasu widzimy wyraźnie, że uratował w ten sposób honor polskiego dziennikarstwa tym upominaniem się o wykluczonych, o prawdę w naszej historii czy o miejsce dla Kościoła w przestrzeni publicznej.***

dr Jolanta Hajdasz, Laudacja, Laur SDP 2025, 17 czerwca

■ ***Polskie społeczeństwo, substancja społeczna, nie jest jeszcze zepsuta, ale bardzo mocno pracują nad jej zepsuciem. (…) Nad tym pracuje ministerstwo edukacji, nauki i inne ministerstwa.*** *To jest coś strasznego. I te media – przede wszystkim przez kłamstwo. Kłamstwo i obrzucić błotem, zdeprawować dzieci.* ***To przecież jest Szkoła Frankfurcka. To masoneria mówiła, na przykład wielki mistrz Loży Wielki Wschód kiedyś mówił: my Kościoła nie zniszczymy rozumowymi argumentami, zniszczymy zniszczeniem obyczaju. I o to tu chodzi.***

o. Tadeusz Rydzyk, wpolityce.pl, 18 czerwca

■ *Istnieje dziś w naszej Ojczyźnie bardzo wiele zagrożeń. Jest jednak jedno, które powinno nas szczególnie niepokoić. Jest nim rozdarcie społeczne (…).* ***Ten podział i nieład spowodowany jest przede wszystkim przez obecne pseudoelity rządzące, które bardziej pragną służyć obcym niż własnym rodakom, bardziej kierują się ideologiami i utopijnymi pomysłami niż prawym rozumem. (…) Dziś bardziej niż analiz politologicznych i prognoz społecznych, gospodarczych (…) potrzebujemy modlitwy, aby dzięki niej nawróciły się nasze serca nie tylko do Pana Boga, ale do siebie nawzajem.***

prof. Paweł Skrzydlewski, Radio Maryja, 16 czerwca

■ *Chrystus nie oddał życia za zaimki osobowe, Chrystus oddał życie za kobietę i mężczyznę, za osobę ludzką. (…) To nie jest sprawa banalna.* ***Przekonujemy się, że naprawdę toczy się walka w węzłowym punkcie istnienia chrześcijaństwa i mają miejsce próby unieważnienia chrześcijaństwa.***

ks. prof. Paweł Bortkiewicz, Radio Maryja, 16 czerwca

■ ***Marks był satanistą i w gruncie rzeczy wiara, którą wyznawał, to była wiara satanistyczna, dlatego była tak radykalnie antyteistyczna (…). Wyrażało się to w tej wersji komunizmu sowieckiego (…) w XX w., wyraża się to dzisiaj w tzw. neolewicy, neomarksizmie, który jeszcze bardziej dobitnie manifestuje swój charakter satanistyczny.*** *My sobie czasem spoglądamy na tę ideologię tak, jak kiedyś na ruch hipisowski: dzieci kwiaty, barwne parady (…). Tak można to postrzegać (…).* ***Tylko zauważmy, że dla nas, katolików, sprawa jest to fundamentalnie ważna, ponieważ ci ludzie demonstrują w sposób radykalny swój sprzeciw wobec Boga – Stworzyciela i Odkupiciela człowieka.***

dalej Bortkiewicz

■ ***Niewiarygodne. Pierwsza od dawna niedziela, gdzie jest ciepło. I co? Dzień Pański – kosiarki w ruchu. Nie dość, że to grzech, to jednocześnie brak kultury i wyczucia.*** *Są kraje (np. Niemcy), w których za niedzielny hałas są mandaty. Uwaga dla pieniaczy!* ***Za liturgię mandatów nie ma.***

ks. Daniel Wachowiak, X, 15 czerwca

KLECHA

Rys. WIDGET

Pogłowie katolickich mniszek intensywnie spada. Na szczęście.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Zakonnice wymierają bijąc

Kościół w Polsce powoli traci swoją najtańszą i najcichszą siłę roboczą. Kobiety, które przez dekady pracowały na jego chwałę, dziś są traktowane jak przestarzały sprzęt – zbyt kosztowny, by go naprawić, zbyt potrzebny, by go wyrzucić. A to rodzi frustrację...

Zakonnica to gatunek na wymarciu. Jeszcze trzy dekady temu do klasztorów zgłaszało się ponad 1200 kobiet rocznie. Dziś? Około 80. Jeśli trend się utrzyma, za 15 lat zakonnicę będzie można spotkać równie często jak strusia na Mazowszu.

A przecież to one są fundamentem kościelnej edukacji. Prowadzą 75 szkół ponadpodstawowych, gdzie uczy się 7400 uczniów. Mają 66 internatów i ponad 500 placówek opiekuńczo-wychowawczych. Do tego dochodzą świetlice, oratoria i – co najważniejsze – obecność w szkołach publicznych. Ponad 600 zakonnic uczy w takich placówkach, mając pod swoją pieczą blisko 90 tys. uczniów.

Wychowanie przez tresurę

To ogromny wpływ na wychowanie kolejnych pokoleń. A jednak nikt ich nie sprawdza. Nikt nie pyta, jakiego rodzaju metody stosują. A te bywają – delikatnie mówiąc – osobliwe. Od taśmy klejącej i ciemnych pokoi w Łukowie przez kazania o piekle i zakazy korzystania z toalety w Kaliszu po bicie mopem i zamykanie w klatce w Jordanowie. Skoro wiele zakonnic nie przeszło żadnego nowoczesnego szkolenia pedagogicznego, a ich edukacja zatrzymała się w czasach ołowianych linijek, może pora zadać pytanie, czy to na pewno odpowiednie osoby do wychowywania dzieci.

W Zabrzu wszystko zaczęło się od chłopca, który zamiast milczeć postanowił opowiedzieć, że w ośrodku prowadzonym przez boromeuszki przez lata dochodziło do systemowego znęcania się nad dziećmi. Siostra Bernadetta, czyli Agnieszka F., była dyrektorką placówki. Wychowanie rozumiała jako tresurę, a dyscyplinę – jako zbrodniczy rygor. To ona wydawała polecenia zamykania dzieci z agresywnymi kolegami, wiedząc, że ci będą ich bić i gwałcić. To jej metody zapewniały „porządek" w ośrodku. Ofiary mówiły o klęczeniu na grochu, biciu prętami, zdzieraniu lakieru z paznokci papierem ściernym.

W 2011 r. gliwicki sąd okręgowy skazał Bernadettę na dwa lata więzienia. Do zakładu karnego trafiła dopiero w 2014 r., bo wcześniej skutecznie unikała odsiadki z powodu złego stanu zdrowia. Druga zakonnica dostała jedynie osiem miesięcy w zawiasach. Ofierze po kilkunastu latach przyznano pół miliona złotych zadośćuczynienia.

Sylwia Maria J., nazaretanka z przedszkola w Łukowie, miała nieco inne metody wychowawcze. Według ustaleń śledczych przez rok znęcała się fizycznie i psychicznie nad dziećmi: krzyczała, szarpała, wiązała im ręce i nogi, zaklejała usta taśmą, zamykała w ciemnych pomieszczeniach. Czworo czterolatków nie zapomni jej nigdy. Sprawę ujawnili rodzice. Mimo jej oświadczeń o „pozytywnych metodach wychowawczych" sąd w Siedlcach utrzymał w lipcu 2024 r. wyrok – rok odsiadki. Zakonnica nie przyznała się do winy. „Nie rozumiem tego i to boli" – pisała w oświadczeniu. Wierzyła, że czasem trzeba „zatrzymać się i przywrócić harmonię". Harmonię, która naderwała dziecku ucho.

Wejścia i wyjścia

W 1990 r. w Polsce było około 24 tys. zakonnic. 10 lat później – wciąż tyle samo. Ale już w 2024 r. – niespełna 15,7 tysiąca. To spadek o blisko 9 tys. w ciągu zaledwie dwóch dekad. W latach 90. do zgromadzeń wstępowało rocznie ponad 1200 kobiet. Dziś nowicjat rozpoczyna około 80–84. W tym samym czasie z zakonów odeszło ok. 160 sióstr. To prosty rachunek: ubywa ich dwa razy szybciej, niż przybywa.

Zmniejszanie się pogłowia zakonnic to nie tylko polska specyfika. W USA jeszcze trzy dekady temu żyło 155 tys. katolickich zakonnic. Dziś – może 40 tys. Na całym świecie w 2018 r. liczba sióstr zakonnych wynosiła 642 tys. Pięć lat później było ich o 50 tys. mniej.

W Polsce dane są jeszcze bardziej konkretne. W 2020 r. nowicjat rozpoczęły 84 siostry. W tym samym roku zmarło 456. W 2010 – 207 rozpoczęło nowicjat, a zmarło 369. W 2000 r. było to jeszcze 541 wstępujących i 428 zmarłych. Linia trendu nie zostawia złudzeń: wejścia zanikają, wyjścia przyśpieszają. Te siostry, które zostają, lekko więc nie mają.

W 2022 r. dzieci ze szkoły podstawowej w Kaliszu oskarżyły zakonnicę katechetkę o znęcanie się: zakaz jedzenia śniadań na religii i wyjść do toalety, grożenie piekłem, szarpanie. Zakonnica biła po rękach. Przyznała się, ale zaraz potem w oświadczeniu zaprzeczyła. Cytowano rodziców: „Jak można ufać osobie, która mówi dzieciom, że trafią do piekła, a potem sama nie czuje winy?". Sprawę warunkowo umorzono, ale siostra nie chciała zapłacić tysiąca złotych na fundusz pokrzywdzonych. Bo wszystko oddaje Kościołowi.

W Niepublicznym Przedszkolu Sióstr Opatrzności Bożej w Grodzisku Mazowieckim dzieci były bite, szarpane, zamykane za drzwiami. Wicedyrektorka, oczywiście zakonnica, ciągnęła dzieci za uszy i wykrzykiwała wulgaryzmy. Biegli potwierdzili wiarygodność zeznań dzieci. Mimo tego przez ponad rok od zgłoszenia zakonnica dalej „opiekowała się" dziećmi. Bez względu na to w 2022 r. niepubliczne kościelne przedszkole otrzymało ponad 1,25 mln zł z publicznych pieniędzy.

Co łaska

W 2022 r. zgromadzenia żeńskie czynne liczyły 15 940 profesek wieczystych, 438 sióstr po ślubach czasowych, 109 nowicjuszek i 84 postulantki. Rok później – w 2023 r. – profesek było 15 601, czasowych – 479, nowicjuszek – 131, postulantek – 96. A w 2024 roku? Już tylko 14 871 profesek wieczystych, 353 czasowe, 66 nowicjuszek i 69 postulantek. Wszystko w dół. Poza wiekiem – ten rośnie. Średnia wieku mniszek w Polsce to już 57,8 lat. Wiele sióstr to emerytki, które za 1700 zł netto muszą przeżyć miesiąc, licząc głównie na państwową łaskę i kościelną ciszę.

Zakonnice zarabiają mniej niż księża. Ich emerytury – jeśli nie pracowały na etacie – to głównie minimum wypłacane dzięki Funduszowi Kościelnemu zasilanemu z budżetu państwa.

W 2025 r. na fundusz pójdzie 275,7 mln zł, rok wcześniej było to 257 mln. Z tej puli pokrywane jest 80 proc. składek sióstr. Pozostałe 20 proc. muszą zapłacić same. Tymczasem księża na etatach mają emerytury w wysokości 3200–3500 zł brutto. A po 75. roku życia mogą liczyć na dodatkowe 2500 zł miesięcznie. Średnio. Zakonnice – raczej nie. No to się wkurzają.

W sopockiej podstawówce na religię w jednej z klas chodziło tylko troje dzieci. Nowo zatrudniona zakonnica uznała, że zrobi z tym porządek. Ewangelizowała, przekonując, że trzeba chodzić na religię. Opowiadała więc dzieciom, w zastępstwie na godzinie wychowawczej, że znała kogoś, kto przestał chodzić na katechezę i… umarł! Piątoklasiści zabili pingwina śmiechem i sprawę nagłośnili. Zakonnica nie odpuszczała. Na przerwie podeszła do jednego z uczniów, który nie chodzi na religię, i zapytała: „Co ty robisz ze swoim życiem?". Mimo że nikomu nie walnęła, dla dyrektorki było tego za dużo. Wezwała więc pingwina na dywanik – bo nic więcej przysłanej przez kurię misjonarce zrobić nie mogła.

W 2022 r. media ujawniły, że w DPS-ie prowadzonym przez prezentki dziewczynki z niepełnosprawnością intelektualną były bite mopami, zamykane w klatkach, wiązane pasami. Słyszały: „Twoja matka to prostytutka", „Dostaniesz wpierdol". Gdy któraś narobiła w pieluchę, zakonnice śmiały się i wydawały innej dziewczynie polecenie: „No dalej, wysmaruj ją". Jak coś im się nie widziało, to zwracały się do podopiecznych słowami: „Jak nie przestaniesz, to cię zbiję, do chuja wafla!". Gdy któraś z podopiecznych zamkniętych w klatce zgłaszała potrzebę fizjologiczną, to od siostrzyczek słyszała: „Sraj pod siebie!". Bo w DPS była klatka! I to od lat. Tak samo jak ogrodzenie z drutu kolczastego. Sprawą zajęto się dopiero po brutalnym pobiciu 13-latki. Siostra Alberta usłyszała zarzuty za znęcanie, siostra Bronisława – za utrudnianie śledztwa. Pozostałe? Wciąż pracują z dziećmi, choć już w innym ośrodku.

Atmosfera w klasztorach nie sprzyja zdrowiu psychicznemu. Zakonnice opowiadają o mobbingu, przemocy psychicznej, zastraszaniu przez przełożone. O „siostrzanej miłości", która kończy się izolacją i milczeniem przy wspólnym stole. Ślub posłuszeństwa to często ślub z przemocą. I samotnością. Nic dziwnego, że habit coraz częściej spada na podłogę. Albo eksploduje agresją.

TOMASZ BOROWIECKI

eprasa.pl 86a6214840

Cudotwórca Tuska

Dlaczego, gdy pojawia się Mikosz, zawsze słychać płacz i zgrzytanie zębów?

Cudowne dziecko premiera zaczynało w Paryżu, z dala od politycznego pyłu i zgiełku sporu klasowego. Sebastian Mikosz, polski ekonomista z CV godnym Zachodu, przechodził przez kolejne szczeble korporacyjnej drabiny z precyzją szwajcarskiego zegarka. Arthur Andersen, Fast Trade, Francusko-Polska Izba Gospodarcza, Polska Agencja Informacji i Inwestycji Zagranicznych (PAIiIZ), Deloitte – każda z tych instytucji dodała mu punktów do reputacji fachowca. Działał zawsze tam, gdzie pieniądz stykał się z państwem.

W PAIiIZ jako wiceprezes negocjował inwestycje z międzynarodowymi gigantami – m.in. MAN-em w Niepołomicach. Inwestycja była jedną z największych w regionie i zapewniła kilkaset miejsc pracy. Mikosz zyskał reputację nieustępliwego negocjatora, który jednak rzadko siadał do stołu po to, by słuchać.

W Deloitte Polska, gdzie pełnił funkcję starszego menedżera, miał wykształcić się jego styl: analityczny, pozbawiony sentymentów, zorientowany na szybkie rezultaty.

Sebastian Mikosz i związkowa zagłada

W Polskich Liniach Lotniczych LOT pojawił się niczym komisarz ratunkowy. W 2009 r. firma się chwieje. Straty idą w setki milionów. Flota wymaga modernizacji. Mikosz wkracza z planem: tnie, negocjuje, wypowiada. Najpierw zakładowy układ zbiorowy pracy. Potem dyscyplinarki dla liderów związkowych Elwiry Niemiec i Grzegorza Kossowskiego. Związki w odpowiedzi: pogotowie strajkowe, skargi do Państwowej Inspekcji Pracy, próby negocjacji. Mikosz: „Z szantażem się nie negocjuje". Referendum strajkowe wykazało miażdżące poparcie dla akcji protestacyjnej. Związkowcy podnosili alarm: „Prezes nie rozumie realiów pracy w liniach lotniczych. Wprowadza korporacyjne wzorce jak z fabryki, nie jak z pokładu". Nie wiedzieli, że LOT był wtedy rządowym laboratorium liberalnej terapii szokowej. Zatrudnienie zredukowano z 2000 do 1500 etatów.

W 2013 r. sąd pracy przywrócił do pracy zwolnionych działaczy, uznając ich dyscyplinarne zwolnienie za bezzasadne. Ale efekt był. W 2014 r. zysk 99 mln euro. Flota urosła do 86 nowoczesnych maszyn. Połączenia rozszerzone o Tokio, Hanoi, Seul. Ale przy tym wszystkim LOT zamienił się w firmę bez twarzy. „Prezes nie znał nazwisk. Liczby znał wszystkie" – mówi były dyrektor działu HR. Mikosz odszedł w 2015 r., bo – jak mówił – „państwo nie chciało wejść w koalicję z inwestorem". Ale jak przyznał w wywiadzie: „LOT to był mój egzamin. Nie z efektywności – z odporności".

Nairobi. Rok 2017. Kenya Airways – kolejna tonąca w długach duma narodowa. Mikosz przejmuje stery i po raz kolejny aplikuje swój koktajl naprawczy: redukcje, optymalizacja tras, zmiany organizacyjne. Partnerami są KLM i rząd Kenii. Ale nie pracownicy. W lipcu 2018 r. załoga organizuje protest. Demonstracja kończy się interwencją policji. Rannych zostaje sześć osób. „To był krzyk o szacunek. A on stał obok i patrzył" – mówił mediom jeden z demonstrantów. Publikatory spekulowały o narastającym napięciu z władzami spółki, twierdząc, że „prezes importowany z Europy nie był w stanie zrozumieć kontekstu społecznego Kenii".

W czerwcu 2019 r. Mikosz odchodzi. Oficjalnie – sam. Nieoficjalnie – otrzymuje odprawę, jakby został zwolniony. Związek zawodowy Kenya Aviation Workers Union wydał oświadczenie: „Reformy pana Mikosza oznaczały tylko jedno: masowe zwolnienia bez zabezpieczeń. Dla nas był symbolem kolonialnego zarządzania – bez empatii, bez dialogu".

W 2020 r. Mikosz trafia do międzynarodowej agencji lotnictwa IATA. Senior vice presidentem jest tam przez dwa lata. Gabinet, dokumenty, debaty. Wreszcie mógł mówić językiem Excela bez konfrontacji z realnością hal produkcyjnych. Ale – jak wspominali jego współpracownicy – „nie pasował do struktury, gdzie nie da się nikogo zwolnić". W 2022 r. z IATA odchodzi.

Sebastian Mikosz i poszukiwacze zaginionych zysków

Mikosz wraca do Polski, by po dwóch latach chudych rząd Tuska postawił go na czele Poczty Polskiej. Spółka była w ruinie: minus 590 mln zł. Wypowiedzenie zakładowego układu zbiorowego pracy staje się pierwszym komunikatem nowego zarządu. Za nim – plan odejścia ponad 9 tys. pracowników. Formalnie – dobrowolnie. Faktycznie – pod przymusem.

Związkowcy bili na alarm: „Nie ma automatyzacji, nie ma centralnego systemu płac, a on chce nas zwalniać". W sali negocjacyjnej rozpoczyna się okupacja. Rozmowy trwają godzinami – bez efektu. Mikosz mówi: „Zarządzanie to nie koncert życzeń. To decyzje".

W lipcu 2024 r. pracownicy przeprowadzają ogólnopolski protest. Listonosze przerywają doręczenia, placówki działają w trybie awaryjnym. Media donoszą o ponad 400 zgłoszeniach naruszeń prawa pracy.

W kolejnych tygodniach organizacje związkowe – m.in. Solidarność, OPZZ i ZZPP – zorganizowały wspólny front. „Prezes Mikosz stosuje technokratyczne metody sprzeczne z misją publicznego operatora. Nie możemy pozwolić, by Poczta Polska stała się wydmuszką – bez ludzi, bez godności, bez przyszłości" – napisały.

W październiku miała miejsce największa demonstracja pocztowców od dwóch dekad. Tysiące osób przyszło pod ministerstwo z transparentami: „Nie jesteśmy kosztami", „Poczta to ludzie, nie tylko logistyka".

Do mediów wyciekły fragmenty wewnętrznych prezentacji zarządu, w których pracowników nazywano „długiem intelektualnym".

W odpowiedzi Mikosz powtarzał: „Reforma boli. Ale stagnacja zabija. Musimy działać szybko i bez emocji".

Poczta stała się polem bitwy między nowoczesnością a człowieczeństwem. A Mikosz – generałem bez armii, który zamiast budować nowy porządek, rozbraja starą strukturę bez planu na jej miejsce.

Sebastian Mikosz i ostatnia krucjata

I wtedy pojawia się Temu. W czasach, gdy Bruksela ostrzega przed nieuczciwą konkurencją z Azji, a w sejmie toczą się debaty o ochronie rynku i bezpieczeństwie konsumentów, Poczta Polska – spółka skarbu państwa, niegdyś symbol narodowej infrastruktury – zawiera strategiczny sojusz z chińskim gigantem. Zyskująca na popularności platforma przyciąga Polaków niskimi cenami, a teraz jej paczki doręczać będą… nasi listonosze.

Z jednej strony – pragmatyzm. Prezes Mikosz świeżo po ogłoszeniu programu dobrowolnych odejść dla ponad 9 tys. pracowników tłumaczy, że trzeba iść z duchem czasu.

Poczta nie może już być listowo-paczkowa. Ma być cyfrowa, konkurencyjna, europejska – choć partner wybrany do tej przemiany bardziej przypomina chińskiego smoka niż unijnego gracza. Popularność Temu to fakt. Ale też i problem.

Bruksela wszczęła dochodzenie przeciwko Temu na mocy Aktu o Usługach Cyfrowych. UOKiK zarzuca firmie wprowadzanie klientów w błąd przy promocyjnych cenach. Federacja Konsumentów bije na alarm: w ubraniach z Temu wykryto metale ciężkie. Ekologowie grzmią o nadprodukcji, toksynach i dumpingowych cenach, które niszczą lokalnych producentów.

Władze Poczty zapewniają, że umowa z Temu to szansa. Usprawnienie logistyki, lepsza oferta, większy zasięg. Temu zyskuje sieć centrów i 22 tys. punktów odbioru. Poczta – pieniądze. Europejscy politycy próbują dziś ograniczyć wpływ azjatyckich platform, które korzystają z państwowych dopłat i taniej siły roboczej. Tymczasem my w tym samym czasie oferujemy im narodową sieć dystrybucji.

Mikosz odpowiada: „Zgodność z prawem została zachowana. Musimy generować przychody". Związki: „To sprzedaż narodowej infrastruktury". Pracownicy: „To nie partnerstwo, to kapitulacja".

Nic dziwnego. Wszak Mikosz to emanacja wolnorynkowego liberalizmu. Z papieru robi zysk, z firmy – maszynę. Ale ceną jest człowiek. Zysk liczony w milionach. Strata liczona w godności. Reforma, która zostawia ludzi na poboczu. Ale jak pisał poeta: wszystko ma swoją cenę. I wszystko ma swój koniec. Nawet kariera cudownego dziecka, gdy rachunek za jego sukces zaczyna płacić cała załoga.

TADEUSZ JASIŃSKI

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Życie w dobrobycie

● Rząd ogłosił sukces. Od 1 stycznia 2026 r. do stażu pracy mają być wliczane okresy świadczenia pracy w ramach działalności gospodarczej, umów-zleceń, agencyjnych czy bycia członkiem spółdzielni. Dzięki temu – jak głosi oficjalna narracja – pracownicy zyskają nie tylko poczucie sprawiedliwości, ale i konkret: dłuższy płatny urlop. Pięknie brzmi, zwłaszcza w folderach reklamowych Ministerstwa Pracy. Bo na tych zmianach skorzystają głównie ci, którzy i tak są już w miarę ustawieni. Pracowali na zleceniach, ale teraz mają etat, często w sektorze publicznym. To właśnie pracownicy administracji, urzędów, instytucji kultury, sądów i uczelni będą teraz mogli dopisać sobie parę lat do stażu i dostać 26 dni urlopu zamiast 20. Oczywiście to nie z ich pensji będzie to pokryte, tylko z budżetu państwa. Czyli z podatków – również tych płaconych przez ludzi, którzy na urlop nie mają co liczyć. Bo przecież nie łapią się na ten przywilej pracujący na umowy o dzieło. A tych w Polsce jest ponad 1,3 mln. To głównie artyści, dziennikarze, korektorzy, tłumacze, programiści czy nauczyciele kursów. Państwo przez lata zachęcało pracodawców do stosowania „elastycznych form zatrudnienia", co w praktyce oznaczało wyzucie pracowników z jakichkolwiek praw. Dziś, kiedy trzeba by to naprawić, poszkodowani dostają informację: sorry, ale dla was zmian nie będzie. Nie lepiej mają ci, którzy przez lata prowadzili jednoosobową działalność gospodarczą, często zmuszeni do tego przez pracodawców, którzy woleli „współpracę B2B" niż zatrudnienie na umowę. Tacy ludzie nie tylko nie dostawali urlopu, nie mieli L4, nie mogli iść na zwolnienie na dziecko – teraz słyszą, że będą mogli sobie dopisać kilka lat do stażu. Ale tylko wtedy, jeśli udowodnią, że płacili pełne składki emerytalne i rentowe. A że przez lata wielu płaciło minimalne stawki albo „mały ZUS", to ich staż i tak będzie liczony proporcjonalnie – czyli będzie znikomy. Prawdziwym przełomem byłoby zagwarantowanie wszystkim zatrudnionym – niezależnie od formy – prawa do urlopu, chorobowego i opieki społecznej. Ale to kosztuje. A skoro kosztuje, to się nie opłaca. Więc rząd woli ogłaszać reformy, które de facto niewiele zmieniają.

● Ponieważ władza lubi robić rzeczy, które wyglądają, jakby coś robiła, to tym razem wymyśliła sobie „Poradnik kryzysowy". Broszurkę, która – jak zapewniają ministrowie – pomoże Polakom przetrwać pierwsze 72 godziny kryzysu. Takiego jak wojna, powódź czy blackout. Papierowe cudo, za które zapłacimy my wszyscy – bo z podatków – ma kosztować od kilkunastu do kilkudziesięciu milionów złotych. A wszystko po to, by każdy obywatel mógł dostać do skrzynki pocztowej kolorową książeczkę z obrazkami i listą rzeczy do zrobienia, kiedy spadną bomby albo woda zaleje dom. Zamiast porządnych zapasów, centrów ewakuacyjnych, baterii, masek, radia czy jedzenia dostaniemy drukowane rady typu „zabezpiecz wodę" i „spakuj dokumenty". A to wszystko w kraju, w którym nawet apteczki w samochodach są dobrowolne, a strażacy ochotnicy nie mają czym jeździć. Bo zamiast na sprzęt – pieniądze pójdą na papier i tusz. Skorzystają: zaprzyjaźnione wydawnictwo, znajoma drukarnia i agencja PR, która wymyśli kampanię medialną. Całość obudowana będzie narracją o „odporności społeczeństwa" i „wzmacnianiu gotowości cywilnej". Tyle że nawet wojskowi, z którymi rozmawiają dziennikarze, prywatnie mówią: to strata czasu i kasy. Broszura bowiem będzie miała wersję z audiodeskrypcją, w języku migowym, dostosowaną do dzieci, w kilku językach, z ilustracjami, z kampanią promocyjną i – oczywiście – konsultacjami społecznymi. A jak przyjdzie prawdziwy kryzys, to zamiast maski, kuchenki i zapasów będziemy mieli broszurkę z obrazkami. I numer do infolinii, która akurat nie będzie działać.

● Ponieważ obywatele mają wszystko, czego dusza zapragnie, to kradną tylko dla zabawy. No bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że tylko w pierwszym kwartale tego roku popełniono ponad 9,2 tys. przestępstw kradzieży sklepowej, z czego prawie 5 tys. dotyczyło kosmetyków? Nie masło, nie chleb, nie mleko, ale perfumy i balsamy. Eksperci biją na alarm: sklepy wielkopowierzchniowe stały się mekką poszukiwaczy przygód. A wszystko przez bogaty asortyment, wysokie półki i zatłoczone alejki. Kiedyś trzeba było skakać z mostu na bungee, żeby poczuć dreszcz emocji. Teraz wystarczy ukraść butelkę szamponu za 45 zł i próbować wyjść z uśmiechem między kasami samoobsługowymi. W najbogatszym województwie mazowieckim w pierwszym kwartale było prawie 2 tys. kradzieży. Na bogatym Śląsku – ponad 10 tys. Najczęściej kradnie się w marketach. Tam, gdzie są kamery, ochrona i automatyczne bramki. Skąd to ryzyko? Ano właśnie z potrzeby emocji. Bo przecież biedy już nie ma. Może z wyjątkiem tych 2 tys. przypadków, kiedy ktoś ukradł jedzenie, i 1,5 tys., gdzie łupem padł alkohol. Wszak Polska to kraj, w którym się kradnie z nudów.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

● Z tego bogactwa to nawet pracować nam się nie chce. Gdy kończą się pieniądze, to nie idziemy do drugiej roboty, tylko rezygnujemy z zakupu. A jak już naprawdę Polak musi, to raczej odłoży płatność, weźmie chwilówkę albo skorzysta z rat 0 proc. Ale niech nikt nie liczy na to, że rodacy bez pieniędzy będą siedzieć po nocach przy kasie samoobsługowej albo rozwozić jedzenie. Praca dodatkowa to już ostateczność – sięga po nią ledwie co piąty z nas. Z danych wynika, że aż 83 proc. Polaków przekracza swoje plany budżetowe. I nie chodzi tu o jakieś drobiazgi. Chodzi o regularne, stałe życie ponad stan. Tylko niespełna 10 proc. z nas deklaruje, że zawsze trzyma się swoich budżetowych założeń. A kilka procent w ogóle nic nie planuje. Bo i po co? Jak się czegoś nie liczy, to nie widać, że się nie zgadza. Kiedy rachunki, jedzenie i dojazdy kosztują więcej, niż obywatel planował, to przesuwa pieniądze z jednej kupki na drugą. „Elastyczność finansowa" – jak to ładnie nazywają eksperci. Bo polska szkoła wychowała takich obywateli, którym miast zakasać rękawy, zdecydowanie łatwiej jest po prostu nie kupić nowego tabletu, odpuścić remont albo doczekać promocji w markecie budowlanym.

● Na tak dopieszczonych dobrobytem Polaków ktoś jednak musi zarabiać. A z badań wyszło właśnie, że uchodźcy z Ukrainy nie tylko nie ciągną nas na dno – jak twierdzi część polityków – ale wręcz przeciwnie: podtrzymują, co się da. W 2024 r. ich wkład w PKB sięgnął 2,7 proc., czyli prawie 100 mld zł. To więcej niż wpływy z podatku cukrowego i opłat za plastiki razem wzięte. A do tego jeszcze 47 mld zł w budżecie z podatków, które płacą. Ukraińcy nie zabierają Polakom pracy. Oni po prostu robią to, czego Polacy już robić nie chcą. Więc tam, gdzie rośnie zatrudnienie Ukraińców, spada bezrobocie wśród Polaków, a ci wspinają się po drabinie zawodowej, stając się kierownikami i menedżerami Ukraińców. W 2024 r. 90 proc. ukraińskich dochodów pochodziło już z Polski. A że 80 proc. pieniędzy zarobili, to dzięki temu Polska nie dokłada do nich, tylko na nich zarabia. Aż 40 proc. Ukraińców ma wyższe wykształcenie, ale tylko 12 proc. może pracować w zawodzie zgodnym z kwalifikacjami. Ale mimo to robią co mogą – i robią to dobrze. Po to, aby „prawdziwy Polak" mógł sobie na nich ponarzekać, leżąc z piwem na kanapie.

TTJ

eprasa.pl 86a6214840

Obydwaj gwiazdorzyli, ale tylko jeden miał do tego prawo

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Sprawą żyje cały kraj, nie ma po co męczyć Czytelników szczegółami. Robert Lewandowski z powodu przemęczenia sezonem nie przyjechał na zgrupowanie kadry przed meczem eliminacji mistrzostw świata z Finlandią, co początkowo zaakceptował selekcjoner Michał Probierz, ale po kilku dniach za karę pozbawił najlepszego polskiego piłkarza opaski kapitańskiej. Lewandowski zapowiedział, że dopóki Probierz będzie selekcjonerem, dopóty on nie zagra w reprezentacji. Polacy przegrali z Finami. Probierz stwierdził, że mieli dobre momenty, powinni wygrać i nie zamierza podawać się do dymisji, ale pod naporem kibicowskiej opinii zrezygnował.

Opinie na ten temat wyraził, kto tylko umie mówić po polsku, począwszy od prezydenta Andrzeja Dudy, skończywszy na dozorcy z mojego podwórka, który wiedząc, że mam coś wspólnego ze sportem, koniecznie chciał mnie przekonać, że Lewandowski gwiazdorzy.

Czy gwiazdorzy? Może troszkę tak, ale przynajmniej ma do tego prawo. Jest najlepszym piłkarzem w polskiej historii. Kiedyś cudzoziemiec na najdalszym krańcu świata zapytany, z czym kojarzy mu się Polska, odpowiadał: Boniek i papa Wojtyla. Nowe pokolenie zapomniało o świętym mężu z Wadowic i piłkarzu AS Roma, więc wymienia tylko jedno nazwisko: Lewandowski.

Golfiarz w garniturze

Wybitne osobowości w sporcie mają rogate charaktery. Portugalski trener Paulo Sousa, krótko prowadzący reprezentację Polski, twierdzi jednak, że w porównaniu z fochami takich gwiazd jak Cristiano Ronaldo czy Leo Messi nasz Robert jest aniołkiem.

Jeśli mowa o gwiazdorzeniu, to bez wątpienia gwiazdorzy Michał Probierz. Wystarczyło popatrzeć na ławkę rezerwowych. Widzieliśmy tam nie sportowego szkoleniowca, ale raczej kogoś, kto strojem i sposobem bycia przypominał barona narkotykowego, z nieodzownymi w tej roli atrybutami: zarost na kanadyjskiego drwala, nienaganny garnitur w prążki z kamizelką (na każdy mecz inny), sygnet na palcu, wystający spod mankietu koszuli sikor za ileś tam patoli. Podczas treningów, a ich fragmenty dostępne były dla mediów, pan trener musiał oczywiście pozbyć się garnituru, ale ze znudzoną miną przechadzał się wśród biegających zawodników; oczywiście z rękoma w kieszeniach dresu. I z miną kogoś, kto jest ponad to wszystko.

Ludzie o mentalności baronów narkotykowych lubią podszywać się pod osoby z najwyższych sfer. Tam obowiązkowa jest gra w golfa, nie może więc dziwić, że Michał Probierz jest nie tylko fanem tej gry, ale najwidoczniej woli wbijanie piłeczki kijem do dołka niż kopanie dużej piłki nogą do bramki. Już po ustąpieniu z funkcji selekcjonera reprezentacji Polski zapowiedział, że wystartuje w golfowych rozgrywkach rangi mistrzostw Polski. Były to zawody Karolinka Golf Open; piłkarski trener wystąpił w kategorii seniorów.

Zadałem sobie trud i znalazłem w sieci wyniki. Probierz odpadł po dwóch rundach, ale był z siebie zadowolony. Najbardziej z udanego putt z ok. 10 metrów na 18. dołku. Od razu przypomniały mi się pomeczowe wypowiedzi selekcjonera po beznadziejnych meczach jego reprezentacji, też zawsze mówił o pozytywach, niestety – dodawał – rywale byli za silni.

Szczytem wszystkiego było ogłoszenie składu reprezentacji Polski na Euro 2024. Dokonał tego na polu golfowym. Nie chcę skakać po leżącym, ale może byłoby lepiej, gdyby na nim pozostał.

Eleganckie garnitury, których Michał Probierz ma pełną szafę, muszą na razie w niej pozostać. Trzeba otworzyć inne drzwiczki i sięgnąć po strój golfisty: długie spodnie, bawełniana koszulka polo z krótkim rękawkiem i kołnierzykiem. Mile widziany jest kaszkiet, taki jaki w chłodne dni nosi prezes PiS Jarosław Kaczyński.

Dlaczego tak dużo miejsca poświęcam strojowi i sposobowi bycia Michała Probierza? Dlatego, że nie tylko nie przystoi to trenerowi piłkarskiemu, ale wskazuje na środowisko, z jakiego się wywodzi. To środowisko bajerantów i pozerów, czasem z nieciekawymi powiązaniami.

Bez sukcesów

Nigdy nie trenował mnie Michał Probierz ani ja jego. Nawet nie znam go osobiście. Nie powinienem więc oceniać jego warsztatu szkoleniowego. Jeśli się jednak przejrzy CV Probierza, widać, że sukcesów trenerskich nie ma tam wiele. Wicemistrzostwo Polski, Puchar Polski i Superpuchar Polski z Jagiellonią Białystok to największe osiągnięcia. Może także Puchar Polski z Cracovią, ale nie był wówczas jej trenerem, lecz dyrektorem sportowym. W zagranicznym klubie – Arisie Saloniki – za jego kadencji drużyna trzy mecze wygrała, jeden zremisowała i cztery przegrała. Sezonu w Arisie nie ukończył.

Niech teraz każdy porówna sportowe CV Probierza i Lewandowskiego i sam sobie odpowie na pytanie, kto z tej dwójki ma prawo gwiazdorzyć.

Michał Probierz zawsze uchodził za trenera charyzmatycznego. Wedle definicji osoba charyzmatyczna ma cechy osobowości, które wzbudzają podziw i zaufanie, ma zdolność przyciągania, inspirowania i fascynowania innych ludzi. W sporcie słowo „charyzmatyczny" jest mocno nadużywane. Zwłaszcza w przypadku Probierza.

Przyjrzyjmy się jego sportowemu CV bliżej. Sukcesów – jak już napisałem – nie znajdziemy wielu. Za to kontrowersji – owszem. Charyzmatyczny – tu jak najbardziej pasuje to słowo – były napastnik, a obecnie polityk Tomasz Frankowski, zwany „Franek, łowca bramek", zaczynał kopać piłkę w Jagiellonii Białystok. Jeszcze jako nastolatka sprzedano go za granicę do RC Strasburg za koszulki, spodenki oraz buty dla drużyny i tak zaczęła się jego wielka międzynarodowa przygoda.

Grał w Japonii, w Anglii (Wolverhampton), we Francji, w USA i Bóg wie gdzie jeszcze. Wszędzie strzelał mnóstwo bramek i uczył się języków obcych, co przydało mu się później w karierze polityka. Wrócił do kraju, strzelał bramki dla Wisły Kraków i znów dla Jagiellonii Białystok, w której zakończył karierę. W jej trakcie miał przyjemność trafić na Michała Probierza. Między charyzmatycznym piłkarzem i pozującym na charyzmatycznego trenerem musiało zaiskrzyć. Daję słowo, nie pamiętam już, o co poszło, chyba o spóźnienie na trening lub coś podobnego, w każdym razie padły groźne słowa: „Albo on, albo ja". Jeśli pamięć mnie nie zawodzi, jakoś rozeszło się po kościach.

Specjalista od konfliktów

Po konflikcie na linii Probierz–Lewandowski zapytano o zdanie selekcjonera reprezentacji Holandii Ronalda Koemana. Nic dziwnego, Polska i Holandia grają w tej samej grupie eliminacyjnej do mistrzostw świata. Charyzmatyczny szkoleniowiec, który wcześniej był charyzmatycznym obrońcą m.in. FC Barcelony, odpowiedział krótko: „Nigdy nie szukałem zwady z moim najlepszym piłkarzem".

Probierz nie unikał konfliktów. Gdzie się pojawił, tam coś musiało się dziać. We wspomnianym Arisie dwukrotnie rezygnował, ale raz dał się przekonać do pozostania. To wszystko w jednym sezonie. Z Wisły Kraków odszedł po konflikcie ze starszyzną drużyny, zwłaszcza z jej defensywnym pomocnikiem Radosławem Sobolewskim. Później, już jako trenerzy (Probierz Cracovii, a Sobolewski Wisły) nie podawali sobie ręki ani przed meczem, ani po meczu. Bardzo elegancko.

Elegancja zawsze charakteryzowała naszego byłego już selekcjonera reprezentacji. Przed meczem z Legią Warszawa, którą prowadził niemówiący po polsku Henning Berg, wręczył mu rozmówki polsko-norweskie. Podczas konferencji prasowej jako trener Cracovii przyniósł doniczkę z ziemią, wsypał do niej nasiona i ilustrował w ten sposób tezę o braku cierpliwości wśród piłkarskich działaczy. Zanim przekonał się do eleganckich dwurzędowych garniturów w prążki, miał zwyczaj pojawiać się w sportowych obiektach w ciemnych okularach. Już drzemała w nim chęć pozowania na barona narkotykowego.

Jako trener GKS Bełchatów sprawował funkcję od listopada do grudnia, po czym umowę rozwiązano za porozumieniem stron. Umowa z następnym klubem – Lechią Gdańsk – podpisana została na okres dwóch lat z opcją przedłużenia o kolejny rok. Nie przedłużano jednak umowy. Ze względu na słabe wyniki Probierz został zwolniony po niecałym roku.

Następnym klubem szkoleniowca była Jagiellonia Białystok. Tu zagrzał miejsce dłużej, bo na trzy sezony. Konferencje prasowe stały się specjalnością zakładu. Po odpadnięciu w II rundzie Ligi Europy UEFA z Omonią Nikozja stwierdził, że europejskie puchary są jak pocałunek śmierci. Zależy dla kogo, trenerze.

Najkrócej Michał Probierz trenował zespół Bruk-Bet Termalica Nieciecza. Właściciele firmy Bruk-Bet Termalica Danuta i Krzysztof Witkowscy zbudowali w niewielkiej miejscowości nie tylko dobrą drużyną piłkarską, która awansowała do Ekstraklasy, ale także stadion spełniający wymogi najwyższej klasy rozgrywkowej. Nic dziwnego, że sięgnęli po charyzmatycznego trenera. Podpisali z nim umowę 6 stycznia 2022 r. Dwa dni później drogą mailową Michał Probierz poprosił o rozwiązanie umowy za zgodą stron. Nawet nie spotkał się z zawodnikami.

Na marginesie: gratulacje dla Bruk-Betu Nieciecza za powrót do Ekstraklasy. Wciąż nie mogę się nadziwić, jak można stworzyć tak dobry futbol w miejscowości liczącej 700 mieszkańców. Na stadion może przyjść tam 4600 widzów, a ponad 1500 – zasiąść na zadaszonej trybunie.

Prezes disco polo

No dobrze, ktoś zapyta, dlaczego prezes PZPN Cezary Kulesza po zwolnieniu Fernanda Santosa zdecydował się zatrudnić jako selekcjonera reprezentacji Polski właśnie Michała Probierza? Probierz jest dobrym znajomym prezesa z czasów Jagiellonii. Innej odpowiedzi nie znam.

Teraz wszyscy rozglądają się za nowym selekcjonerem, padają różne nazwiska, czasem dość oryginalne. Sam Kulesza mówi, że najchętniej widziałby na tym stanowisku Macieja Skorżę, a PZPN gotowy jest zapłacić 1,5 mln euro odstępnego japońskiemu Urawa Red Diamonds, z którym Polak ma wciąż obowiązujący kontrakt.

Nikt nie pyta, kto powinien być prezesem PZPN. Nie ma innej osoby, wszyscy kontrkandydaci zostali dawno wycięci. A skąd w ogóle wziął się Kulesza w piłce? Zaczynał od disco polo. Dobrze pamiętam tamte czasy. Kasety z muzyką disco polo produkowano i dystrybuowano tonami; naprawdę sprzedawano je hurtownikom na wagę. Autorzy i wykonawcy wpadającej w ucho muzyki nie mieli z tego prawie nic. Większość zagarniali producenci, wśród nich Cezary Kulesza, właściciel agencji muzycznej Green Star. Była to swego rodzaju mafia.

Sławomir Świerzyński, lider najpopularniejszej chyba grupy disco polo Bayer Full, w jednym z wywiadów opowiedział, jak chciał upomnieć się u producenta o ciut większy kawałeczek z tego tortu. Przyjechało kilku ogolonych chłopaków o wyglądzie stadionowych kiboli, przywiązali go do samochodu i przeciągnęli kawałek po szosie. Od razu dodam, że Bayer Full nie znajdował się w portfelu agencji Green Star. Ale to było tego typu środowisko.

Jako prezes Jagiellonii Cezary Kulesza bratał się z kibolami, dawał ich hersztom prawo zasiadania na vipowskiej trybunie, a jako ochroniarza reprezentacji Polski, szczególnie jej gwiazdy Roberta Lewandowskiego, zatrudnił niejakiego „Gruchę", bandytę i neofaszystę. Gdyby nie interwencja dziennikarza Szymona Jadczaka, „Grucha" poleciałby z ekipą na mistrzostwa świata do Kataru.

Naprawdę więcej problemów ma nasz futbol niż tylko z selekcjonerem reprezentacji narodowej.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 25.06.2025 r.

eprasa.pl 86a6214840

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

– Osiem milionów siedemset siedemdziesiąt cztery tysiące dwieście osiemdziesiąt trzy – mamrotał poseł Roman Giertych, leżąc z zamkniętymi oczami na kozetce. – Osiem milionów siedemset siedemdziesiąt cztery tysiące dwieście osiemdziesiąt cztery…

– Co on robi? – zapytał zaniepokojony rzecznik Adam Szłapka.

– Przelicza głosy – odparł Jan Grabiec, szef kancelarii premiera.

– A gdzie Donald?

– Zajęty rekonstrukcją rządu.

– Chciałbym się dowiedzieć, kto jeszcze zamierza opuścić rząd, bo dziennikarze nie dają mi spokoju – Szłapka teatralnie złapał się za głowę. – Mówią, że rezygnacja Muchy rozwiązała worek z dymisjami.

– Jedna Mucha wiosny nie czyni – Grabiec równie teatralnie rozłożył ręce.

– A Kołodziejczak?

– Kołodziejczak z wozu, koniom lżej.

– Osiem milionów siedemset siedemdziesiąt cztery tysiące trzysta dwadzieścia pięć… – monotonnie szeptał Giertych.

– Nie oszukuje? – spytał Szłapka. – Wydaje mi się pominął kilkanaście głosów.

– Zobaczymy, co mu wyjdzie – uspokoił rzecznika szef kancelarii premiera. – W razie czego wyślemy Bodnarowi doniesienie o możliwości popełnienia przestępstwa fałszerstwa wyborczego.

– Przez niego? – bezgłośnie zapytał Szłapka, wskazując na Giertycha.

– Przez Czarnka. Przez Mateckiego. Przez Kuźmiuka. I przez Szefernakera.

– Kuźmiuk? Przecież to dureń, on najwyżej melodię mógłby sfałszować…

Grabiec uśmiechnął się z wyższością.

– Wiesz, jak to jest z durniami – rzekł. – Sto razy rzucą, a raz trafią.

Zamyślili się obydwaj.

– To może chociaż mi powiesz – przerwał milczenie Szłapka – ile ma być ministerstw po rekonstrukcji. Podobno najmniej w Europie…

Grabiec, który nie miał zielonego pojęcia ani o tym, ile jest, ani o tym, ile będzie resortów, zrobił minę wtajemniczonego notabla.

– Donald nie będzie bił żadnych rekordów – powiedział, nachylając się do ucha Szłapki. – Ministerstw będzie tyle, ile powinno być.

– Osiem milionów siedemset siedemdziesiąt cztery tysiące trzysta dziewięćdziesiąt sześć… – mruknął Giertych.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN jest chora. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** jest smutna, bo jej ludzie umierają.

Wołk-Łaniewska: – Właśnie wracam z pogrzebu. Mogę poopowiadać?

Joanna Senyszyn: – Proszę.

– Na pohybel prezydentowi elektowi chciałam opowiedzieć o zmarłym, który był wyjątkowo przyzwoitym facetem – i funkcjonariuszem SB za PRL. W tzw. wolnej Polsce Andrzej dostał generała od Kwaśniewskiego, w rządzie Cimoszewicza był wiceministrem spraw wewnętrznych i szefem Straży Granicznej. Nawiasem mówiąc, nawet się wzruszyłam, bo obecny komendant główny SG wysłał kompanię honorową, co bardzo doceniam. Ale ja nie o tym: otóż znałam zmarłego dość dobrze, bo spędziłam z nim 10 lat życia. I jedną z rzeczy, którą o nim wiedziałam na pewno – było to, że jest niewierzący. Radykalnie, od nowości, jego matka Ala, którą skądinąd uwielbiałam, była szczerą komunistką. I otóż czytam nekrolog Andrzeja, a tam jest napisane: „Świętej pamięci gen. Andrzej Anklewicz, nabożeństwo żałobne odbędzie się o godz. 11”… Powiedz mi, dlaczego katolicy to robią bliźniemu?

– Chciałabym myśleć, że z dobroci, ale pewnie z poczucia katolickiej wyższości i braku szacunku dla innych poglądów. To jak z dziećmi, które też chrzczą na siłę, bez ich wiedzy i zgody. Religie są z zasady przemocowe. I w stosunku do swoich wyznawców, i wszystkich innych. Żywych i zmarłych.

– Pamiętam, kiedy zmarł prof. Religa, napisałam nawet o tym tekst zatytułowany „Prozelityzm funeralny”. Religa był ateistą, mówił o tym otwarcie, jako jedyny minister w rządzie Kaczyńskiego nie wzywał boga na pomoc podczas ślubowania. A jak umarł, któryś ze szmatławców, bodajże „Fakt”, wywalił na pierwszej stronie: „W dniu 8.03.2009 zasnął w Panu Ś. P. profesor Zbigniew Religa”. I ja teoretycznie wiem, że to nie ma znaczenia – kto umarł, ten nie żyje, żadna świadomość po śmierci nie istnieje, więc zwłoki nie wiedzą, że są przedmiotem pokropku – ale jednak istnieje coś takiego jak szacunek dla pamięci zmarłego, uszanowanie jego życzeń i tego, kim był.

– Najwyraźniej u katolików nie istnieje. Ale zmieńmy temat, bo już mi się smutno robi. Więc opowiem coś wesołego. Przez Boże Ciało umknął mam ranking najgorszych ministrów. Już po raz drugi zwyciężyła nasza ulubienica Barbara Nowacka. Jak dodać do tego katastrofę wyborczą Trzaskowskiego, której jest współautorką, wysuwa się na bezapelacyjne pierwsze miejsce do sierpniowego odstrzału przez Tuska. Przez uprzejmość nie gratulujemy. Za to za najlepszego ministra uznano Sikorskiego, co dowodzi, że mamy poglądy statystycznego obywatela Rzeczypospolitej, czyli jesteśmy dwuosobową reprezentatywną opinią publiczną i zamiast robić kosztowne badania, wystarczy nas pytać, co sądzimy.

– O, bardzo przepraszam, mów za siebie. Ja absolutnie nie uważam faceta, który mówi i pisze wszystko, co mu przyjdzie do głowy – „Thank you USA” po wysadzeniu Nord Stream 2 – i jest czołowym podżegaczem wojennym, za wymarzonego szefa dyplomacji. Uważam, że polska polityka zagraniczna jest idiotyczna, histeryczna, oparta na fobiach, a nie chłodnej kalkulacji i już za chwilę, kiedy Trump się dogada z Putinem, zostaniemy z ręką w nocniku. Mnie proszę w chwalenie Sikorskiego nie wpisywać. Gorszy od Sikorskiego jest tylko Kosiniak-Kamysz, uniesiony chłopięcą miłością do dużych luf. Ten koleś naprawdę sądzi, że dano mu do zabawy 200 tys. ołowianych żołnierzyków… Zgroza.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

– Niemniej Sikorski wyrasta z tej rządowej mizerii. I niewykluczone, że prezydentem też by został. Ale dobra, pogadajmy o drugiej stronie: czy Czarnek zostanie szefem kancelarii prezydenta?

– Tak podejrzewam. Oni wyraźnie pasują do siebie z Nawrockim.

– A moim zdaniem niekoniecznie. Czarnek chce być wiceprezesem PiS, a Nawrocki chce ponoć bezpartyjnego fachowca i nie godzi się na łączenie tych stanowisk. Niemniej, gdyby został, to by była kariera w stylu Kierwińskiego: od wpływowego ministra z immunitetem do podrzędnego bez immunitetu, i to w ciągu niespełna roku. Fakt, że miał zostać prezydentem Warszawy…

– Czarnek?

– Kierwiński, nie uważasz…

– Ale przecież mówiłyśmy o Czarnku. I ja wcale nie sądzę, że szef Kancelarii Prezydenta to podrzędna postać. To zależy, jak się tę robotę wykonuje, Kalisz nie był podrzędny przy Kwaśniewskim, a Kaczyński przy Wałęsie. Choć może dlatego szybko wyleciał… W każdym razie kombo Nawrocki–Czarnek może być dość niebezpieczne.

– Tu akurat się zgodzę. Przechodząc dalej: ominął nas też rozwód PSL z Polską 2050. Gdyby poczekali do 1 stycznia, dostaliby dużo wyższy zasiłek pogrzebowy. A tak najwyżej 15-procentową rentę wdowią, bo wypłaty ruszają 1 lipca.

– Tylko kto tu jest wdową w tym układzie? Czy też – co ważniejsze – kto jest nieboszczykiem? Ja już tyle razy słyszałam o pogrzebie PSL, że straciłam nadzieję. Choć ten bachor od ołowianych żołnierzyków może tę partię naprawdę pogrzebać, bo Polskie Stronnictwo Ludowe nie ma już kompletnie nic wspólnego z ludem, to formacja miejskich inteligentów, którzy lud widzieli u Chełmońskiego w Muzeum Narodowym w Krakowie.

– Zmieniając temat: prezeska SN Manowska narzeka, że obywatele złożyli 50 tys. protestów wyborczych. Ponieważ większość to gotowce opracowane przez posła Giertycha, Manowska zarzuca mu próbę dezorganizacji pracy SN. W 1995 r. złożono prawie 600 tys. protestów wyborczych. Wtedy były to gotowce przygotowane przez NSZZ „Solidarność”, która nie mogła strawić Kwaśniewskiego. 30 lat temu społeczeństwo było zdecydowanie aktywniejsze i chętniejsze do protestów, a sąd pracowitszy, bo nie narzekał.

– Może dlatego, że wtedy prezesem był Adam Strzembosz, który nie miałby nic przeciwko uwaleniu komucha. Teraz sytuacja jest zgoła inna. Byt określa świadomość.

– To prawda. I ta różnica dotyczy nie tylko lat 1995–2025. Dziś zwolennicy Trzaskowskiego twierdzą, że ważności wyborów nie może uznać Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych, bo składa się z wadliwie powołanych neosędziów i europejskie trybunały orzekły, że jej składy to nie sądy. Dwa lata temu, kiedy ta sama izba uznała ważność wyborów z 15 października, nikomu z PO to nie przeszkadzało.

– Na koniec, z dobrych wiadomości: zbuntowany lud wenecki wygnał Bezosa z centrum miasta. Właściciel Amazona – to jest ten koleś, dla którego wystawiłabym gilotynę na Pennsylvania Avenue, bo bez krwawej rewolucji się tych pijawek nie pozbędziemy – zarezerwował sobie Wenecję na ślub z jedną panną z telewizji. Zaproszona była światowa elita pasożytów, z którąś Kardashianek i garścią Trumpów, i wszystko miało się odbyć w XIV-wiecznym pałacu Grande Scuola Misericordia w centrum miasta. Ale lud Wenecji postawił veto. Najbardziej mi się podobał transparent o powierzchni 400 mkw.: „Jeśli możesz wynająć Wenecję na swój ślub, możesz zapłacić więcej podatków”…

– Może, ale wolałabym, żeby Bezos więcej płacił swoim pracownikom, bo wyjąwszy kraje skandynawskie, podatki niekoniecznie są przeznaczane na poprawę życia ludu pracującego miast i wsi. U nas redystrybucyjna funkcja podatków się nie sprawdza. Są trwonione na zbrojenia, bogaty Kościół kat., 800 plus dla milionerów.

– A ja jestem za podatkami dla miliarderów. Duuuużymi. Mogłyby być trochę mniejsze, gdyby uczciwie płacili pracownikom. Wracając do ślubu: na przeszkodzie stanęły krokodyle.

– Od kiedy w Wenecji są krokodyle?

– Miały być, specjalnie dla Bezosa. Aktywiści zapowiedzieli, że będą pływać w kanałach z nadmuchiwanymi krokodylami i zagradzać drogę gondolom. Więc Bezos odpuścił gondole i wyniósł się z centrum Wenecji. Tak trzymać, chłopaki.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 86a6214840